NA STRONIE 10-EJ: JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO: „WŚRÓD KSIĄŻEK"

SPÓŁDZIELNIA-WYDAWNICZA PPR

CENA 20 zł

STRON 10

TYGODNIK WYBRZEŻA

W NUMERZE:

J. BOROWIK: INSTYTUT BAŁTYCKI * E. JĘDRKIEWICZ: „IGRY" * J. PAPUGA: „DECYZJA" * L. ZABROCKI: „O USTALANIU NAZW".

ROK III SZCZECIN, 14 LISTOPADA 1948 R. NR 44 (118)

STANISŁAW BRZEZIŃSKI

O POSTĘPOWĄ TREŚĆ

Jeden z ostatnich numerów wychodzącego w Moskwie tygodnika „Sowieckoje Iskustwo" (Nr 41 z 9.10.48), przynosi ciekawy artykuł wstępny zatytułowany „W przededniu wielkiej rocznicy", w którym autor, omawiając dotychczasowe osiągnięcia kultury radzieckiej, zastanawia się nad tym, jakie mają być dalsze drogi rozwoju tej kultury i kreśli wytyczne dla całokształtu życia kulturalnego w Związku Radzieckim i dla jego polityki kulturalnej.

W artykule tym między innymi czytamy: „W ciągu 31 lat swego istnienia Związek Radziecki przeszedł olbrzymi szlak dziejowy. Oblicze jego zmieniło się nie do poznania. Stał się krajem o potężnym przemyśle, kwitnącym rolnictwie i postępowej kulturze. Przechodząc przez ciężkie doświadczenia wojenne, zwyciężywszy potężnego wroga, kraj nasz powrócił znowu do pracy pokojowej i do twórczości, i z wiarą dąży do swojego wysokiego celu — do budowy komunistycznego społeczeństwa".

A dalej: „Ludzie w Związku Radzieckim mają zwyczaj czcić wielką rocznicę Rewolucji Październikowej coraz to nowymi osiągnięciami w dziedzinie sztuki i twórczości. Jest to piękna tradycja, ustalona już w społeczeństwie radzieckim, aby z okazji tej wielkiej daty, corocznie, w obliczu całego narodu i jego Wodza Stalina, rozpatrywać i oceniać dokonane osiągnięcia w zakresie wypełnienia planu kulturalnego: nowych odkryć i wynalazków, nowych dzieł i osiągnięć i tego wszystkiego czego dokonano w Związku Radzieckim w dziedzinie nauki, sztuki i kultury w okresie minionego roku a co posuwa naprzód nasz kraj i nasze państwo, wzmacnia jego potęgę i utwierdza historyczne zdobycze Wielkiej Rewolucji Październikowej".

Razem z całym narodem ustala także swe osiągnięcia i radziecka inteligencja artystyczna.

W ciągu ubiegłego roku — osiągnięto w Związku Radzieckim bardzo wiele we wszystkich dziedzinach twórczości kulturalnej.

KLEMENT GOTTWALD — SYN LUDU

Po wyborze Klementa Gottwalda Prezydentem Republiki Czechosłowackiej załogi zakładów przemysłowych i wszystkie warstwy społeczeństwa w całym kraju demonstrowały swe uczucia przywiązania dla tego najwierniejszego syna ludu pracującego. Załoga fabryk obuwia „Bata" w Zlinie umieściła na głównym gmachu dyrekcji olbrzymi portret Prezydenta Gottwalda

Pisarze i poeci radzieccy mogą się poszczycić napisaniem i wydaniem całego szeregu dzieł literackich pierwszorzędnej wartości, z których wiele już znanych jest w Polsce.

Pisarze i autorzy sceniczni Związku Radzieckiego napisali wiele sztuk teatralnych najrozmaitszych rodzai, których prapremiery bądź to już się w ciągu ostatnich miesięcy odbyły, bądź też odbywają się w Moskwie i w innych miastach Związku Radzieckiego z okazji Październikowej Rocznicy. Jest ich cały szereg. Wymienimy tylko kilka: A. Surow „Zielona ulica", P. Pawienko „Szczęście", Borjanow, „Na tym brzegu", dramat „Matka" według powieści M. Gorkiego inscenizowany przez N. Ochłopkowa, sztuka dla dzieci W. Kawerina „Dwaj kapitanowie" i wiele innych.

Na ekranach kin radzieckich ukazały się w dniu Październikowej Rocznicy wielkie, nowe filmy długometrażowe tegorocznej produkcji radzieckiej a między innymi: „Lenin w październiku", „Lenin w roku 1918", „Człowiek z karabinem", „Czapajew" według powieści A. Krumowa wydanej ostatnio po polsku. „Wielkie zarzewie", „Przysięga", „Wielki przełom", trylogia filmowa o Maksymie Gorkim i inne.

Kompozytorzy radzieccy nie pozostają w tyle i mogą także wykazać się olbrzymim wprost dorobkiem twórczym w ciągu minionego roku: S. Wasilenko napisał w tym roku z kolei piątą swoją symfonię przeznaczoną na wielką orkiestrę, D. Szostakowicz skomponował suitę symfoniczną na tematy swego filmu muzycznego według powieści A. Fadiejewa „Młoda Gwardia", która to książka znakomitego radzieckiego pisarza ukazała się w ostatnich dniach na naszych półkach księgarskich w polskim tłumaczeniu, W. Kriukow skomponował poemat symfoniczny „O współczesnym człowieku", A. Aleksandrow napisał „Uwerturę symfoniczną na tematy rosyjskie", a A. Krein poemat symfoniczny „Pieśń o sokole".

Plastycy radzieccy przygotowali z okazji 31-ej rocznicy Rewolucji Październikowej, wielką wystawę pod nazwą „Trzydziestolecie plakatu Radzieckiego". „Plakat — pisze „Sowieckoje Iskustwo" z okazji tej wystawy — to najbardziej wymowny i zarazem skuteczny środek propagandy artystycznej naszych czasów. Dzieje radzieckiego plakatu, to dzieje wieloletniej walki i pracy Narodu Radzieckiego, walki nieustępliwej z poplecznikami imperializmu, walki z napastnikiem hitlerowskim, — to dzieje budowania socjalistycznego Państwa, dzieje stalinowskich „pięciolatek" i kolektywizacji gospodarstw rolnych. Język polityczny artystycznego plakatu, to potężna i celna broń w rękach radzieckiego artysty i twórcy".

„Na radzieckich wystawach plastycznych znajdować się powinny jedynie — jak pisze „Sowieckoje Iskustwo" — dzieła **zasługujące na głęboki szacunek i skupioną uwagę widzów.** Wówczas dopiero każda taka wystawa osiągnie w pełni swój cel artystyczny a zarazem i społeczny, wywoła zainteresowanie wśród publiczności, odsłoni przed oczyma widzów nowe talenty i nazwiska".

Rewolucja Październikowa otworzyła przed narodami Związku Radzieckiego nową szeroką drogę we wszelkich rodzajach twórczości artystycznej. Dała ona ludziom prawdziwie utalentowanym możność tworzenia w odpowiadającej im dziedzinie i czerpania natchnień w teraźniejszości jak i przeszłości artystycznej Rosji. „Nasza sztuka radziecka — pisze Sowieckoje Iskustwo — **socjalistyczna w treści a narodowa w swojej formie i w swoim wyrazie artystycznym, jest najbardziej postępową a zarazem artystycznie najbardziej indywidualną sztuką na świecie.** Przeciwstawia się ona tym samym wszelkiej rozkładowej, burżuazyjnej sztuce Zachodniej Europy i Ameryki.

Doniosłe wypowiedzi naczelnego organu artystycznego w Związku Radzieckim zasługują na uwagę nie tylko dlatego, że wytyczają drogi dalszego rozwoju sztuki i kultury w największym kraju socjalizmu, ale także dlatego, że zawierają głębokie ujęcie podstaw i celów rozwoju kulturalnego i twórczości artystycznej w najbardziej nowoczesnym ujęciu społeczeństwa i państwa.

Niewątpliwie i u nas nadchodzi czas na to, aby wyjść z dotychczasowej bezplanowości ogólnej w dziedzinie kultury i stworzyć **program pracy kulturalnej**, program artystycznej twórczości i program ten planowo, konsekwentnie, celowo przeprowadzać.

Musi w tej dziedzinie nastąpić i to jaknajprędzej:

1) ustalenie jednolitego planu ogólnego, zmierzającego do stworzenia u nas w kraju jaknajlepszych warunków dla rozwoju życia kulturalnego i indywidualnej, twórczej pracy dla wszystkich twórców w zakresie kultury,

2) ustalenie jaknajskuteczniejszych metod dla rozpowszechnienia zdobyczy prawdziwej, wartościowej i postępowej kultury w najszerszych warstwach społeczeństwa i to zarówno w mieście, jak na wsi, wśród klasy robotniczej, chłopów i pracującej inteligencji. Należy uaktywnić wszystkie warstwy społeczne twórcze w kierunku stworzenia z nich nie tylko odbiorców, ale budowniczych kultury.

3) ustalenie planu wymiany osiągnięć najbardziej na to zasługujących w dziedzinie naszej kultury i twórczości z innymi krajami, z drugiej strony planu celowego wykorzystania zagranicznych osiągnięć kulturalno - artystycznych i doświadczeń, dla wzmożenia pracy kulturalnej u nas. Niestety w tej dziedzinie mamy jeszcze bardzo wiele braków, wynikających z prawie, że kompletnej dotychczasowej bezplanowości działania. Na tym polu, t. j. na polu wymiany naszych kulturalnych zdobyczy i współżycia tą drogą z innymi narodami, a przede wszystkim z najbliższymi nam krajami słowiańskimi — również dotąd nie wypracowaliśmy żadnego dalej sięgającego planu. Plan ten, podobnie jak całokształt polityki kulturalnej, musi wynikać z założeń i celów socjalistycznego społeczeństwa i państwa, zmierzającego do wytworzenia nowej ludowej kultury, opartej, jak to doskonale sformułowane zostało przez „Sowieckoje Iskustwo" w przytoczonym na wstępie do tych uwag artykule, na wyrażaniu nowej, postępowej treści współczesnej demokratycznej kultury przy pełnym zrozumieniu i poszanowaniu wielkich, narodowych tradycji kulturalnych i ich wyrazu w dotychczasowych, narodowych z ducha formach twórczości.

Jednym z podstawowych warunków, a zarazem środków do upowszechnienia kultury jest, jak to pokazuje przykład Związku Radzieckiego, **upowszechnienie czytelnictwa.** Trzeba aby książka dosłownie, a nie tylko w przenośni „dotarła pod strzechę", aby weszła do każdego domu, aby przestała być artykułem praktycznie niedostępnym dla człowieka pracy, tak jak to — przyznajmy to otwarcie, ma dotąd miejsce w Polsce, ale aby się stała, tak jak nas poucza przykład Związku Radzieckiego, artykułem dostępnym dla każdego, studiującego, dla każdego pracującego.

U nas potrafiono już udostępnić wszelkiego rodzaju zbiorowe korzystanie z przejawów życia kulturalnego szerokim masom pracującym. Teatry, koncerty, radio, film, stają się dostępne dla każdego indywidualnie, w sensie możliwości bezpośredniego korzystania: kupienia biletu na koncert czy przedstawienie, nabycia własnego radioodbiornika i td. Tylko książka jest jeszcze dla indywidualnego odbiorcy, w sensie możności jej nabycia na własność, w praktyce dla przeciętnie zarabiającego obywatela w Polsce absolutnie nie dostępna. Średnia cena nowowydanej książki — około 400—500 złotych za tom, a przy powieściach dochodząca do 2 —

(Dokończenie ze str. 1-ej).

i pół tysiąca przy dziełach 2—3 tomowych, jest absurdalna, gdyż uniemożliwia nabywanie książek przez 90 proc. normal nie kupujących i tych którzy powinni książki kupować.

Przeciętna książka z dziedziny naukowej czy literackiej, na to aby była praktycznie dla każdego dostępna, nie może, przy obecnej skali przeciętnych zarobków w Polsce, kalkulowana być drożej jak inne artykuły pierwszej potrzeby. Cena jej w detalu księgarskim musi być tak skalkulowana aby ją każdy mógł nabyć, aby nie była artykułem luksusowym, co jest zaprzeczeniem zadania upowszechnienia kultury w masach narodu, ale aby się stała chlebem powszednim, którym się wszyscy karmimy.

Sprawa poruszona nie wyczerpuje wielu zagadnień z dziedziny upowszechnienia kultury w Polsce, ale jest jednym z probierzy tego upowszechnienia i dlatego o niej specjalnie mówimy.

Gdy taki program pracy kulturalnej we wszystkich dziedzinach u nas powstanie, a powstać musi jaknajprędzej, aby kultura była na usługach wszystkich warstw demokratycznej społeczności, gdy program ten wyniknie z założeń praktycznych i wymagań życia, t.j. gdy będzie nacechowany prawdziwym **nowym realizmem** społecznym i artystycznym, — wówczas i u nas sztuka i twórczość przestanie być własnością jednostek, a stanie się własnością ogółu. **I to będzie dopiero istotnym upowszechnieniem kultury.**

Byłoby pożądane, aby i u nas odbywały się co rocznie wielkie narodowe przeglądy osiągnięć naszej twórczości kulturalnej, na wzór tych, jakie co roku odbywają się w Zw. Radz. z racji rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Szczególnie odpowiednią do takiego przeglądu rocznicą byłby u nas dzień 1 maja, jako dzień święta klasy robotniczej a zatym święta całego demokratycznego polskiego społeczeństwa, lub też dzień 22 lipca, jako związany z momentami bezpośrednio warunkującymi naszą dzisiejszą społeczno - polityczną i gospodarczą a za tym i kulturalną rzeczywistość w jej zapowiedzi, Manifeście Lipcowym.

Co rocznie powinniśmy ustalać bilans naszej twórczości kulturalnej i naszych wysiłków nad jej upowszechnieniem w narodzie. Odbywać wtedy powinniśmy wielkie przeglądy i zestawiać bilansy naszych osiągnięć twórczych za rok ubiegły w dziedzinie nauki i sztuki, w dziedzinie wszelkich przejawów kultury, a więc w muzyce, piśmiennictwie, teatrze i plastyce i t. d. Powinniśmy stawiać przed oczy naszym twórcom właściwą miarę ich pracy — że **tylko te przejawy działalności artystycznej i kulturalnej prawdziwie zasługują na uwagę, względy i podziw narodu, które zmierzają zawsze do osiągnięcia wysokiego ideału artystycznego i wysokiego celu społecznego,** które czynią zadość wewnętrznym przekonaniom i postępowym ideałom społeczeństwa a jednocześnie wynikają z głębokiego poszanowania wielkich artystycznych i kulturalnych tradycji naszej przeszłości.

Zrozumienie tych założeń, tych żądań szerokich warstw społecznych w stosunku do sztuki i jej przedstawicieli, pozwoli twórcom i artystom, zachowując całkowitą wewnętrzną swobodę twórczą, odnaleźć jednocześnie klucz do rozwiązania najważniejszego problemu artystycznego naszych czasów: w jaki sposób sztuka i twórczość kulturalna, mając przede wszystkim zmierzać do osiągnięcia wysokiego ideału artystycznego, ideału realizowania nowocześnie pojętego piękna i sprawiedliwości wobec wszystkich klas społecznych, ma jednocześnie, nie obniżając własnego lotu, służyć sprawie Człowieka.

Stanisław Brzeziński

EUGENIA KOBYLIŃSKA

„ZROBIŁO SIĘ, CO MOŻNA..."

Właściwie od czego tu zacząć? Pojechało się na Wystawę przez poczucie lojalności: należy wiedzieć, co się w Polsce robi! Powróciło się z Ziemią Odzyskaną w sercu i z nową wiarą w niezniszczalność Narodu Polskiego.

W gmatwaninie zygzakowatych dziejowych dróg dostrzegło się linię wytyczną. Wdychało się wiatr od Odry z poczuciem dziwnej ulgi. Pachniało swojskością, choć wszystko było nieznajome. To już była radość! A zaczęło się od Wystawy. Już się o niej tyle napisało przy różnych okazjach — że imponująca, że wspaniała, celowa w znaczeniu propagandowym, rozumna i wycyzelowana w szczegółach. Wszystko prawda. Czuje się w niej miłującą rękę, artystyczne wykończenie, pieszczotliwe dotknięcie, jeszcze to ostatnie, po którym się mówi swemu dziełu: „zrobiło się, co można, żebyś było piękne".

Zewnętrznie, w słońcu, w zieleni, w gwarze wśród pawilonów, w rozbłysku Iglicy na tle trzech łuków wystawa robi wrażenie pysznego arrasu utkanego przez ręce stęsknione za haftowaniem polskich spraw na tle rzeczywistości dziejowej. Wystawa daje ich obraz na Ziemiach Odzyskanych. Rozumne kierownictwo prowadzi oszołomionego rozgwarem, muzyką i nawoływaniem z głośników widza do wnętrza Czterech Kopuł i Hali Ludowej. Tam każe mu patrzeć i nagle się rozradować i wierzyć i powtórzyć za wołaniem ze ścian: byliśmy i jesteśmy!

Praca polska zobrazowana w planszach, wykresach, mapach na ekranach, w fotografiach i cyfrach, podana barwnie i dostępnie zmusza każdego czującego Polaka do zastanowienia się i zapytania siebie: a co ty robiłeś przez ten czas? Czy brałeś udział w niezmordowanym trudzie narodu? I już widzimy tych czyniących mocne postanowienia i innych powróconych do życia z otchłani ciągłych lęków i wątpień.

Bo są i tacy. Wystawa jest wspaniałym zastrzykiem dla tych, których jeszcze można uratować. Rozpostarta w słońcu nad prasłowiańską rzeką daje radość krzepiącą dla tłumu zdrowych i mocne lekarstwo dla chorych. Przychodź i patrz.

Na placu koło Iglicy kłębi się mrowie młodzieży. Głośniki co chwila nawołują kierowników szkół do zgłoszenia się po odbiór zabłąkanych malców, albo wzywają Danusię, żeby przyszła pod Iglicę, gdzie czeka niecierpliwy Ryś. Ogromny hufiec chłopaków ustawia się w czwórki. Małe, zagapione a uśmiechnięte dziewczątka płyną świergotliwym dwuszeregiem w stronę mostu na teren „B".

Rozdzielił nas tłum. Dmuchnął wiatr, zatrzepotał proporcami, zaszumiał w drzewach, rozerwał obłoki, sypnął słonecznością i migotem. Zalśniły witraże, zapaliły się bielą pawilony, ujawniły się kwietniki, buchnął śmiech malców uganiających się za kolejką sunącą z brzękiem po szynach, a melodia straussowskiego walca porwała wszystko w wirowy tan. Chwieją się drzewa i kwiaty i głowy, wirują karuzele i tańczą chorągwie na chwałę twórców Wystawy.

Wśród tego gwaru i migotu nurkuje łowca światłocieni, połykacz blasków, wiel biciel wszelkiej słoneczności Jan Bułhak.

Rozkochał się w tej uśmiechniętej Wystawie. Zziajany, ale rad z życia ugania się za jej urokami, podchwytuje je na gorąco, pieszcząc okiem i objektywem by utrwalić ten osobliwy jej wdzięk.

ɯɐ ʍʎsʇɐʍʎ ɹz ʍʎɟɹzʎ ǝɟs ʎdʒ ʎ

miasto i dojedzie do Rynku — dotrze do wyspy Tumskiej — do Placu Nankiera — tam już mury biorą człowieka w kamienne objęcia. Krok za krokiem każą mu odczytywać poczętą z Polski historię tej ziemi — te zaklęte w murach dzieje pradziadów. Odczytuje się je — tak jak to zwykle w Polsce — wśród ruin. Ale w ruinach dzia łają już ręce polskie. Pracowite ręce opat rują rany, leczą szczerby, usuwają zwaliska i gruz. Wszędzie robotnicy, rusztowania, drabiny, oczyszczone place, podparte mury, naprawione dachy, pozatykane dziury — praca... praca... praca!

Wyniki tej pracy są we Wrocławiu imponujące. To już wymagałoby osobnej relacji. Ba, całego studium. Dość powiedzieć, że choćby Uniwersytet z Politechniką liczy 10.000 studentów i składa się z (już przestarzały) zajmuje pięć stron w „Informatorze". Co tu mówić. Miasto, aż 18 wydziałów i oddziałów. Sam ich wykaz kipi polskością, aż się przelewa. Przeszłość i teraźniejszość podały sobie dłonie ponad wiekami.

Dreszcz mię przeszedł, gdy jakiś męski głos spośród tłumu odezwał się do wycieczkowiczów przed Katedrą:

— Ano patrz! Słuchajcie, jak tu w murach Polska gada. Mury są krzepkie. Trwają i pamiętają. A człowiek — choćby i ten dzisiejszy — nie ma czego się puszyć. Przeminie, jak ten wiatr — jako wiatr... Bardzo ponuro brzmiało to: „jako wiatr", więc chciało się odpowiedzieć, że człowiek nie przemija, bo utrwala się w dziele swoim, w swojej pracy, że przecież i te mury dźwignęła ludzka szara praca, żmudny trud. Ale ów „prorok" ruszył ze swą grupą dalej. Nadchodziła inna wycieczka. Szkolna. Zmęczeni chłopcy, przeładowani wrażeniami i aż osowiali od ich nadmiaru. Weszli w głąb Katedry. Za nimi już szły dziewczęta. Taka defilada Młodej Polski wśród piastowskich murów.

Siadłam na kamieniu przed Katedrą, niesyta widoku polskości. Oto wróciliśmy na dawny szlak. Dotykamy chropawych kamieni, które widziały Piastów... Ziemia Odzyskana.

Oto jest Wrocław!

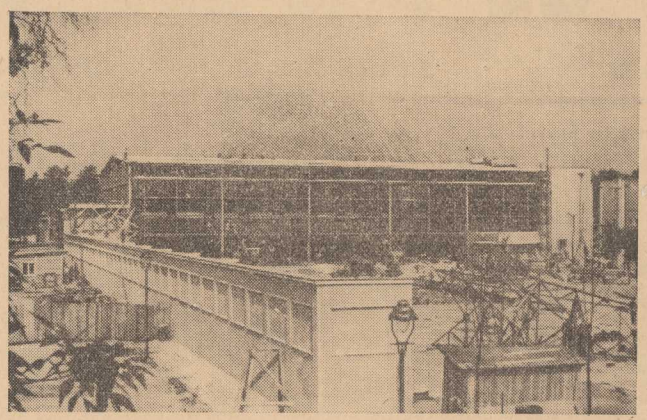

TAK SIĘ ZACZĘŁO...
Przygotowania do Wystawy Ziem Odzyskanych w Wrocławiu. Budowa Pawilonu Przemysłowego

TAK BYŁO...
Widok na teren A z gotowego pawilonu Przemysłowego

LUDWIK ZABROCKI

O USTALANIU NAZW

(NA MARGINESIE ARTYKUŁU JERZEGO PUTRAMENTA — „ODRODZENIE" Nr. 36)

Jedną z największych bolączek ludności na Ziemiach Odzyskanych stanowił problem nazw. Zastaliśmy bowiem na terenach tych, albo stare nazwy polskie zniekształcone przez Niemców w ciągu wieków (w wielu wypadkach niemal że do nie poznania), albo mieliśmy do czynienia z nazwami nowymi niemieckimi. Najprostszym sposobem byłoby zwołanie komisji rzeczoznawców i ustalenie na kilku z rzędu posiedzeniach brzmień wszystkich nazw. Niestety łatwo to powiedzieć, ale wykonać byłoby nieco trudniej. Obok fachowego przygotowania trzeba jeszcze olbrzymiej pracy, by dojść do ostatecznego ustalenia nazwy. Tymczasem ludzi, którzy się na tych sprawach znają, jest w Polsce bardzo mało. Ludzie ci włożyć musieli olbrzymi trud, by rzecz wykonać, jak się należy. Pamiętajmy o tym, że czynimy to pod bacznym okiem naszych specjalistów zagranicznych, którzy nie omieszkają wykorzystać najmniejszego niedomagania.

Przyjrzymy się bliżej pracy Komisji Weźmy dla przykładu miejscowość zwaną po niemiecku Hofdamm w powiecie Gryfino. Otóż miejscowość ta otrzymała nazwę **Dębina.** Myliby się ten, ktoby sądził, że to jest nazwa wzięta z powietrza, równie dobra jak wszystkie inne projekty terenowe. Nic podobnego! Nazwa Dębina jest starą nazwą polską zachowaną w dokumentach. W roku bowiem 1153 mamy dla miejscowości tej zanotowaną nazwę w postaci **Dambina!** Otóż podobnie jak i dla tej miejscowości, muszą członkowie Komisji przy każdej innej także dokładnie przewertować wszystkie dokumenty, by się przekonać, czy przypadkiem nie uda się odnaleźć dla miejscowości o nazwie brzmiącej wybitnie z niemiecka jakiejś starej nazwy polskiej Sprawa to niesłychanie ważna — **z każdą bowiem starą polską nazwą przywróconą na miejsce późniejszej niemieckiej, przybywa nowy dowód polskości tej ziemi.** I tu wydaje mi się. że warto zmienić i trzy razy stemple, zmieniając nazwę wprowadzoną przez teren, nazwę nową i do tego zwykle potworkowatą, najczęściej na dodatek przerabianą z nazwy niemieckiej. Dlatego też i **Alt Schlage** (bia łogardzki) otrzymało nazwę **Sława** (1322 not. Slawę) i podobnie Lusterbuhr (pow. Kołobrzeski) otrzymało nazwę Włościbórz (1276 not. Vlaztibure!) i podobnie wszystkie inne miejscowości otrzymały takie nazwy, jakie obecnie posiadają. Nieliczne są wyjątki, gdzie trzeba było nadawać nowe nazwy. I w tych wypadkach Komisja wcale nie postąpiła według własnego widzimisię. Nie tworzono żadnych, nowych nazw, lecz posłużono się starymi polskimi nazwami tych miejscowości na Pomorzu, które zaginęły! A pamiętać trzeba, że takich miejscowości zaginionych jest bez liku! Wreszcie jeżeli tu i ówdzie tworzono nowe nazwy, to urabiano je do starych imion pomorskich!

Tak więc Komisja Ustalania Nazw przywróciła Pomorzu stare jego rodzime oblicze. Skamieniałe, zamarłe w dokumentach stare nazwy pomorskie przywróciła do życia, a nazwom zniekształconym w ustach niemieckich dała stare polskie brzmienie. Przy tym starała się zachować te wszystkie właściwości, które charakteryzowały stary dialekt pomorski. Stąd też mamy **Stargard** a nie **Starogród,** mamy **Dołgie** a nie **Długie.** Jeżeli ktoś sądzi, że **Stargard** to postać niemiecka, to grubo się myli. Ci wszyscy, którzy „biadają i ubolewają, iż jakaś tam „złośliwa Komisja" zostawiła, postać niemiecką **Stargard,** mogą spać spokojnie. Możemy im bowiem zaręczyć, iż nie **znajdzie się żaden uczony niemiecki, któryby śmiał twierdzić, iż Stargard ma coś wspólnego z niemczyzną!**

A teraz jeszcze jeden fakt ilustrujący stosunek ludności i władz niższych instancji do ustaleń Komisji. W powiecie Złotowskim istniała wieś o nazwie **Lanken.** Komisja ustaliła na podstawie dokumentów **Łąkie,** 2 przypadek **Łąkiego.** Wywołało to protest Starostwa. Chciano koniecznie **Łąki, Łąk.** Tymczasem przybyły na miejsce delegat Komisji stwierdził, iż cała ludność autochtoniczna mówi właśnie **Łąkie, Łąkiego.** Tak najzupełniej poprawnie, boć **Łąkie** wcale nie ma oznaczać **łąki,** lecz **wodę!** Na całym Pomorzu na wodę mówiło się **łąkie.** Dlatego też Niemcy przejmując od ludności pomorskiej ten wyraz, przechowali nam do naszych czasów oznacze nie zatoki jako **Lanke! Stąd Bogelanke, Scharp - lanke, Lanken - bruch** itd.

Praca nad ustaleniem nazw wymaga olbrzymiego wkładu i sporej liczby fachowców. Tymczasem specjalistów z tego zakresu jak już zaznaczyliśmy jest niezwykle mało. Obok znawców historii języka polskiego potrzeba też i baltystów (dla nazw na Pomorzu Mazowieckim) i germanistów, którzyby potrafili wydobyć ze zniekształceń niemieckich polską postać. Mimo tych wszystkich trudności Komisja ustaliła do dnia dzisiejszego przeszło 23.000 nazw! Jest to plon naprawdę wielki! Stąd też jeżeli ktoś krytykuje Komisję, to mamy prawo żądać, by robił to poważnie by robił to w poczuciu wagi sprawy. Niestety dzieje się inaczej. Różni samozwańcy zabierają od czasu do czasu głos w pismach by bez jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności pracę Komisji ośmieszać i poderwać jej autorytet w oczach społeczeństwa. Wydaje się nam, iż robotę tą można nazwać wszystkim, tylko nie zgodną z polską racją stanu. Rozumiemy krytykę poważną, rzeczową, lecz nie rozumiemy artykułów gołosłownych, demagogicznych, a przy tym trącących zupełnie nieznajomością rzeczy.

Członkowie komisji dotychczas z zasady nie odpowiadali na tego rodzaju zaczepki. Obecnie jednak do owego chóru krytyków dołączył się głos Jerzego Putramenta. W „Odrodzeniu" Jerzy Putrament, atakując „onomastów" (tak bowiem nazywa członków Komisji), żąda dla nich ni mniej ni więcej, tylko... Komisji Specjalnej, za „częste zmienianie nazw"...!

Wszystkim nieświadomym rzeczy trzeba tu wyjaśnić, że Komisja Ustalania Nazw raz przez siebie ustalonych nazw nie zmienia, a nie jest jej winą, że w terenie sołtysi, burmistrze lub kolej operują własnymi nazwami, najczęściej trącącymi grubo germanizmem, lub wręcz potworkowatymi z punktu widzenia poprawności języka polskiego. Zadaniem i obowiązkiem Komisji jest błędy te usuwać.

Na koniec jedna jeszcze uwaga. Otóż jest niewątpliwie rzeczą niezdrową, iż ludność nie zawsze rozumie sens nadania takiej a nie innej nazwy. Powstają stąd niekiedy żale i pretensje, a nawet szerzą się niepotrzebne pogłoski na temat poczynionych ustaleń. Aby podobnym rzeczom zapobiec proponowałbym utworzenie w „Tygodniku Wybrzeża" specjalnego kącika onomastycznego, do którego można by skierować zapytania w sprawie ustalonych nazw. Członkowie Komisji chętnie udzieliliby wyczerpujących wyjaśnień. Byłaby to zresztą porządna lekcja historii Ziem Odzyskanych. Myślę, że przy ogólnym zainteresowaniu nazwami ze strony ludności, stworzenie tego rodzaju kącika byłoby rzeczą pożyteczną, a z punktu widzenia państwowego nawet konieczną.

JÓZEF BOROWIK

ZADANIA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

W jednym z poprzednich numerów „Tygodnika Wybrzeża" ukazała się obszerna notatka p. t. „Na tle organizacji Instytutu Zachodniego", zawierająca streszczenie informacji zawartych we wrześniowym zeszycie „Przeglądu Zachodniego". Autor notatki m. in. pisze: „z żalem natomiast stwierdzić wypada, że przeprowadzona reorganizacja nie objęła Instytutu Bałtyckiego". Po wyrażeniu przypuszczeń, opierających się zresztą na niedokładnej znajomości stosunków (o czym niżej), że Instytut Zachodni będzie dublował prace dotąd dokonywane na Pomorzu i w szczególności w Szczecinie przez Stację naukową Instytutu Bałtyckiego, Autor pisze: „trzeba mieć nadzieję, że za pierwszym dobrym etapem nastąpi dalszy — zlanie się organizacyjne Instytutu Zachodniego z Bałtyckim".

Pragnę przede wszystkim rozproszyć obawy R. Ł. co do dublowania pracy. Stacja bowiem Instytutu Bałtyckiego została zwinięta już w czerwcu r. b. w wyniku porozumienia między trzema Instytutami, co do objęcia przez Instytut Zachodni całości problematyki Ziem Odzyskanych. Z oświadczeń zawartych w omawianej notatce wynika, że R. Ł. hołduje zasadom ekonomii wysiłków i jednolitości organizacyjnej jak również, że jest usposobiony krytycznie w stosunku do nieracjonalności i przypadkowości dotychczasowego stanu organizacyjnego instytutów naukowo - badawczych Bałtyckiego, Śląskiego i Zachodniego. Nie podejmując dyskusji odnośnie przeszłości, czuję się zmuszonym zabrać głos, żeby przedstawić na czym polega isto ta dokonanych ostatnio przemian i jak dalece są rozgraniczone zakresy działania i tematyka Instytutów w spotób usuwający niebezpieczeństwo dublowania lubb poczynań konkurencyjnych w odniesieniu do zagadnień pomorskich i skandynawskich.

Reorganizacja Instytutów posiada dwa aspekty: rozgraniczenie nazewnątrz zasięgu działalności oraz dostosowanie wewnętrznej organizacji do przyjętych na siebie zadań. Omówimy każdy z tych aspektów osobno.

PODZIAŁ TERENU I PROBLEMATYKI

Jeżeli chodzi o podział terenu pracy i problematyki, Instytut Zachodni obejmuje tematykę naukową całości Ziem Odzyskanych, jak też zagadnienia kultury regionalnej szerzej zakreślonych trzech prowincji polskich: 1) Wielkiego Pomorza, składającego się z 4 województw, 2) Wielkopolski wraz z Ziemią Lubuską, oraz 3) Wielkiego Śląska, składającego się z 2, względnie 3 województw. Natomiast dotychczasowy potrójny zakres działalności Instytutu Bałtyckiego, który obejmował oprócz zagadnień morskich (to znaczy spraw żeglugi, portów i wymiany towarowej z krajami zamorskimi) również problematykę Regionu Bałtyckiego oraz polskiego Regionu Pomorskiego t. zw. pomorzoznawstwo, — ten niezmiernie szeroki zasięg prac został pomniejszony o jeden człon.

Nie ulega wątpliwości, że te trzy grupy zagadnień: morskie, bałtyckie i pomorskie zazębiają się bardzo głęboko, a czasami, szczególnie jeżeli chodzi o zagadnienia gospodarcze, wydaje się nawet, że są nierozerwalnie ze sobą związane. Mimo to, nie będzie przedstawiało trudności ustalenie przy dobrej woli Kierownictwa obu Instytutów dosyć wyraźnej linii podziału; zadanie rozgraniczenia zakresu jest tym bardziej łatwe do spełnienia w warunkach obecnych, ponieważ oba Instytuty wyraźnie różnią się kierunkiem zainteresowań, oraz posiadają odmienną zupełnie strukturę organizacyjną, dopasowaną właśnie do spełniania odmiennych zadań.

Przywiązujemy do ostatnio poruszonych spraw bardzo dużą wagę i rozpatrzymy je nieco szerzej, każdą z osobna. Omawianiu programu badawczo - naukowego i wydawniczego poświęca się w prasie codziennej i tygodniowej wyjątkowo mało uwagi; jest to temat trudny i niewdzięczny dla szerszej publiczności.

Porównując program ramowy Instytutu Bałtyckiego na lata 1949 — 1950 z tematyką zapowiadaną dotychczas przez Instytut Zachodni możemy się przekonać, jak płonne są obawy co do zachodzenia programów obu Instytutów na siebie, a tym bardziej co do dublowania prac. Również widoczną staje się bardzo istotna różnica w podejściu do zagadnień — o ile **podej ście Instytutu Zachodniego jest wyraźnie humanistyczne, z przewagą tematyki historycznej i etnograficznej — w zamierzeniach programowych Instytutu Bałtyckiego górują zainteresowania gospodarczo - społeczne,** w szczególności zagadnienia ekonomiki transportu oraz polityki społecznej.

WEWNĘTRZNA ORGANIZACJA

Kilka uwag należy poświęcić sprawie wewnętrznej organizacji Instytutów. W związku z przejęciem dodatkowych rozległych zadań struktura organizacyjna Instytutu Zachodniego uległa znacznej rozbudowie częściowo przez mechaniczne wchłonięcie obcego aparatu (naprz. całości Instytutu Śląskiego i Instytutu Mazurskiego), częściowo przez świadome tworzenie nowej aparatury. Zupełnie odwrotnie — aparat organizacyjny Instytutu Bałtyckiego uległ skurczeniu i został zogniskowany niemal całkowicie w Gdańsku; jednym wyjątkiem jest Muzeum Morskie w Szczecinie, posiadające zresztą dużą autonomię i odrębny zupełnie dział pracy dydaktyczno - wystawowy; istnieją zresztą plany stworzenia z Muzeum Morskiego samodzielnego zakładu naukowo - badawczego z przewagą tematyki naukowej — przyrodniczej (oceanografia, fizjografia wybrzeża i rybołówstwo morskie).

Korzystając z 3-letniego doświadczenia organizacyjnego Instytutu Bałtyckiego, kierownictwo Instytutu Zachodniego wcale nie zmierza do rozbudowy na Pomorzu wielkich stacji naukowych. Regulamin wewnętrzny Instytutu Zachodniego, uchwalony przez Prezydium Kuratorium, koncentruje całość pracy naukowej Instytutu w ramach sekcji i studiów centralnego Wydziału Naukowego w Poznaniu, natomiast zadania oddziałów terenowych i stacji naukowych ogranicza do pewnego minimum. Jeżeli chodzi o Wielkie Pomorze — przewidywany jest oddział terenowy w Toruniu, którego kierownictwo zresztą będzie spoczywać nadal w ręku prof. Kiełczewskiej - Zaleskiej, Kierownika oddziału warszawskiego, stale zamieszkałej w Warszawie. Jeszcze bardziej ograniczone zadania, o charakterze wyraźnie łącznikowym, przypadają stacjom naukowym Instytutu Zachodniego w Szczecinie i Olsztynie, które wg. regulaminu „prowadzą przede wszystkim obserwację środowiska z punktu widzenia działalności Instytutu i w razie potrzeby wykonują prace naukowe, zlecone przez Wydział Naukowy lub przez Dyrekcję Instytutu". Z tego wynika, że rozwój wypadków raczej nie idzie w zaobserwowanym przez R. Ł. charakterystycznym jakoby kierunku reorganizacji: „przesunięcia się centrów pracy instytutowej do miast ściśle zachodnich" i „przybliżeniu sztabów" do Szczecina.

Rzeczywistość, wręcz przeciwnie, oddaliła centrum dyspozycji naukowej w dziedzinie badań regionalnych od Szczecina; jest to, naszym zdaniem, posunięcie zupełnie słuszne, podyktowane specyficznymi wymaganiami pracy naukowej.

Opierając się na doświadczeniu zlikwidowanego na początku bieżącego roku Wydziału Pomorzoznawczego pozwalamy sobie wyrazić przekonanie, że ze stanowiska metodologicznego, jak też organizacyjnego i finansowego, nie ma dostatecznego uzasadnienia dla tworzenia odrębnego aparatu naukowo - badawczego, mającego za zadanie poznawanie zagadnień Wielkiego Pomorza tym bardziej dla rozdrabniania tego aparatu na lokalne stacje naukowe dla poszczególnych podregionów.

Nie podejmując dyskusji na temat całości tego zjawiska, pragnąłby zwrócić uwagę na poważne jego umotywowanie z punktu widzenia dzisiejszych warunków i możliwości polskiej pracy naukowej.

Zagadnienia regionalne — zachodnie, północne, lub śląskie; wszystkie się sprowadzają do zasadniczych tych samych problemów naukowych z poszczególnych dziedzin wiedzy: historii, geografii, ekonomii, nauk społecznych, prawa oraz nauk przyrodniczych stosowanych. **Było by rozrzutnością finansową, nie znajdującą również uzasadnienia ze strony wymagań naukowych — rozdrabnianie aparatu naukowego na liczne, drobne i słabe placówki,** niezdolne do stawiania czoła skomplikowanym problemom naukowym, wymagającym, przy stosowaniu nowoczesnych metod pracy zespołowej — powołania wąskich specjalistów celem pogłębienia studiów, a jednocześnie współudziału pracowników różnych specjalności celem wszechstronnego oświetlenia zagadnienia. Zadaniom tym podołają tylko duże zakłady naukowe, posiadające specjalistów z różnych dziedzin, opierające się o współpracę z zakładami uniwersyteckimi, zaopatrzone w specjalne księgozbiory naukowe i archiwa dokumentarne.

PODZIAŁ PRACY WEDŁUG SPECJALNOŚCI

Może być natomiast mowa o podziale pracy wg. specjalności, wg. głównego kierunku zainteresowań. Nie wydaje się słuszną zaznaczająca się czasami tendencja zespalania jak największej ilości zadań w jednym miejscu. Sprzeciwiamy się wyraźnie tej tendencji i znajdujemy dostatecznie ważkie argumenty zarówno w dziedzinie metodologii badań naukowych, jak też w dziedzinie zasad planowania. Podział organiczny, specjalizacja, koordynacja i planowanie są to pojęcia organicznie ze sobą powiązane. W stosunkach gospodarczych i administracyjnych, w pojęciach ekonomicznych i biologicznych, w posunięciach organizacyjnych i w metodzie naukowej — wszędzie jednostajnie przebija myśl podziału całości na organicznie powiązane składniki, rozgraniczenie funkcji i uzgodnienie czynności.

Nie może być mowy o powiązaniu wszystkich zadań badawczych w jednym doskonałym dużym, ale oszczędnym aparacie naukowym. Istnieje natomiast kwestia, w jaki sposób przeprowadzić linie podziału? Tu mogą być wysunięte różne zasady: podział na badania teoretyczne i stosowane; podział wg. różnych zasadniczych dziedzin naukowych, albo kierunków zainteresowań praktycznych; wreszcie podział wg. zasięgu terytorialnego przede wszystkim na światowe, regionalne, narodowe i lokalne. Zastosowanie tych zasad w stosunku do zagadnień nas interesujących ustala niewątpliwą **potrzebę utrzymania w tej dziedzinie wielu specjalnych instytutów naukowo-badawczych i absolutną niemożliwość skupienia wszystkich zadań w jakiejś jednej monstrualnej wszystko obejmującej instytucji.** Tym się tłumaczy, że na terenie samego Szczecina i w odniesieniu do spraw jego ale również z Morskim Instytutem Rybackim regionu będziemy mieli do czynienia nie tylko z Instytutem Bałtyckim i Zachodnim, kim, Instytutem Hydrologiczno - Meteorologicznym, Instytutem Gospodarstwa Wiejskiego, Morskim Instytutem Budownictwa, Instytutem Geologicznym i szeregiem innych, nie mówiąc o zakładach badawczych różnych Szkół Wyższych, Urzędów II instancji, oraz przedsiębiorstw państwowych i monopoli państwowych. Nie należy zapominać że dzisiejsze formy gospodarcze i administracyjne, a szczególnie najdoskonalsza z nich forma planowej gospodarki uspołecznionej opiera się na postępie technicznym i na badaniach naukowych.

NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Ze wszystkich linii podziału zadań między poszczególne Instytuty interesuje nas w danym wypadku linia podziału między zadania teoretyczne i stosowane. Instytuty naukowo - badawcze tego typu, jak Bałtycki, Zachodni, Śląski — mają swoje uzasadnienie i swoją wyraźnie zarysowaną tematykę tylko wtedy, jeżeli wiążą program swych prac ze szczególnie ważnymi zagadnieniami aktualnymi życia gospodarczego, społecznego i politycznego naszego Kraju. Nowa rzeczywistość polska układa się wyraźnie pod znakiem trzech szczególnie ważnych zagadnień zasłaniających swoją doniosłością wszystkie inne sprawy. Są to: **utrwalenie bytu politycznego w oparciu o nowe granice, ustalenie harmonijnej i przyjaznej współpracy z sąsiadami, w pierwszym rzędzie ze Związkiem Radzieckim, przebudowa ustroju społeczno - gospodarczego.** W związku z tym sprawy Ziem Odzyskanych i utrwalenia granicy zachodniej odgrywały w pierwszych latach po wojnie szczególne znaczenie; wyrazem tego było m. in. że w latach 1945—1947 wszystkie 3 Instytuty (Bałtycki, Śląski i Zachodni), Rada Naukowa do spraw Ziem Odzyskanych i cały szereg innych Instytutów i zakładów poświęcały swój wysiłek badawczy i naukowo - wydawniczy w pierwszym rzędzie problematyce Ziem Odzyskanych. Po dokonaniu wielkiego wkładu pracy wchodzimy obecnie w nowy okres, w którym zaznaczają się bardzo istotne przemiany w dotychczasowym naszym stosunku do zagadnienia Ziem Odzyskanych. Weszliśmy jednocześnie w nową fazę naszego stosunku do problematyki naukowej związanej z tym podstawowym zagadnieniem.

I nie tylko w tej dziedzinie nastąpiły istotne zmiany. Również bardzo poważnej ewolucji podległa druga podstawowa dziedzina naszego życia, jak też dziedzina naszych zainteresowań naukowych. Mówimy o **przyśpieszeniu procesów uspołecznienia gospodarki narodowej i procesach przebudowy struktury społecznej i gospodarczej.**

Wreszcie zapowiada się zasadnicza zmiana w naszym stosunku do istotnych spraw związanych z granicą na Odrze i Nisie: wchodzimy w okres wyraźnej stabilizacji i normalizacji stosunków z sąsiadem zachodnim. Wymaga to przejścia od jątrzących metod defensywy, czy też ataku do poszukiwania podstawy do codziennej współpracy gospodarczej i kulturalnej.

TRZEBIETÓW — POW. GRYFICE
OGÓLNY WIDOK Z KOŚCIOŁEM N. P. MARII (wg. starego sztychu).

Trzebiatów w powiecie gryfickim, uroczo położony na rzeką Regą jest jednym z najstarszych grodów Pomorza Zachodniego. Istniał już w r. 1224, kiedy księżna Anastazja, córka Mieszka Starego ufundowała tu klasztor żeński nazwany „ogrodem Marii" (Hortus Mariae). Książę szczeciński Otto I obwarował Trzebiatów mocnymi murami i rozpoczął budowę kościoła Najśw. Marii Panny, którą ukończono w roku 1370.

Piękny zabytek architektury późnogotyckiej zachował się do naszych czasów, chociaż wielokrotnie przebudowany, stracił częściowo dawny charakter. Jest to wysoka, obszerna budowla halowa o trzech nawach i sklepieniach gwiaździstych w czterech przęsłach. Niestety podczas przebudowy w r. 1865 zburzono cenne części średniowiecznego kościoła, jak to się działo często i w wielu innych miastach. Wewnątrz tej świątyni znajduje się szereg starych nagrobków, przypominających sędziwy jej wiek. Najstarszą z nich jest płyta nagrobna Arnolda Krampa z roku 1382 z wyrytym pięknym rysunkiem. Pochodzi ona ze zburzonego kośćioła św. Mikołaja przy dawnym zamku.

Kościół zbudowany z cegły, kryty dachówką, ucierpiał niewiele w czasie ostatniej wojny i znajduje się w dobrym stanie. Otwarty też jest dla kultu religijnego.

KAMIEŃ — SZCZYT PAŁACU BISKUPIEGO.

Kamień, najstarszy ośrodek chrześcijaństwa na Pomorzu i stara siedziba biskupów, posiada wspaniały pałac biskupi, zbudowany w r. 1568, ozdobiony pięknym szczytem późnogotyckim, zwróconym do ulicy.

Budowla ta, nieznacznie uszkodzona w czasie bombardowań w r. 1945, została już gruntownie odnowiona staraniem polskich władz konserwatorskich, odmalowana wewnątrz i doprowadzona do stanu używalnego.

EDWIN JĘDRKIEWICZ

IGRY

Dramat w 3 aktach

AKT II (fragment*)

(Naprzeciw, w głębi mur zamkowy i groźna krzyżacka wieża z bramą wiodącą w dziedziniec zamku krzyżackiego w Gdańsku. Przed bramą most zwodzony przerzucony przez rów. Z prawej i lewej, od frontu, zachodzą na scenę dom i śpichrz, kończące uliczki. Ludzie wychodzący z tych uliczek niewidoczni są jeszcze. — bo zasłonięci tymi budynkami — z murów i wieży)

Komtur (z kilkoma ludźmi ogląda most zamkowy. Pokazuje cieśli polem pod most, po kapralsku.)

Cieśla (drapiąc się w głowę)
Ja nic nie widzę, Wasza Miłość —

Komtur
Wytrzeszcz ślepia, to zobaczysz; Nie ta belka — ta obok!

Cieśla (włażąc pod most)
Juści, ta krzynę nadgniła —

Komtur (urągliwie)
Nadgniła! Tobie, kpie, ona nadgniła? Mnie — przegniła!

Cieśla
Wasza Miłość —

Komtur
Milcz. Gnój ci wozić, nie mosty budować!

Cieśla
To—ć ja go nie budow — —

Komtur
Pysk zawrzyj! Tyś go miał doglądać!

Hans
Majsterku, trza było gały na łopatę włożyć i tam wsunąć. Zawsze tak rób.

Knechty (zarechotały i przytkały sobie gęby, gdy)

Komtur (groźnie spojrzał. Do cieśli)
Precz. Te dwie belki mają być zmienione. Jutro. Do południa.

Cieśla
Wasza Miłość — jutro ...? I do południa? Toć nie zdążym!

Komutr (brutalnie)
Ma być! Nie zdążysz, to będziesz na nich wisiał! **(brutalnym gestem każe wszystkim odejść)**

Cieśla (zafrasowany ciężko).
Wasza Miłość — — Ino... że niby jak to z tym...? Że to panowie Rada zakazowali... robić na zamku coś... Że niby, juści, od wczora się odmieniło wszystko, ino że panowie Rada, jeszcze nie rzekli — —

Komtur (rzuca się do niego z furią).
Ja ci pokażę, psi synu, twoich panów Radę, że ci jęzor z gardzieli na łokieć wylezie! Ty tu do mnie pysk z twoją zgnojoną Radą będziesz otwierał! Na tej belce będziesz wisiał, jak do południa nie będzie gotowe! Precz!

Cieśla (przerażony cofa się w ukłonach. Chciał jeszcze coś mówić, ale knechty wypchnęły go na prawo)

Komtur (wściekłym gestem odsyła wszystkich).

Knechty (wchodzą do bramy łypiąc na niego ze strachem).

Hans (skulił się w kącie)

Komtur (patrzy chwilę za cieślą z twarzą drgającą od wściekłości. Po tym siada ciężko na kamieniu przy wejściu na most. Warczy)
Świński gnój!

Hans (podsuwa się ku niemu. Zmagając się z widocznym strachem, usiłuje rozśmieszyć komtura błazeńsko udawanymi wzdrygnięciami zgorszenia).

Komtur (nie zwraca na niego w ogóle uwagi. Warczy z pasją)
Mać jego — —

Hans (udaje znów, że się wzdrygnął ze zgorszenia, plecie)
Aj Henryczku... jak ty brzydko mówisz.. Co by to powiedział nieboszczyk pobożny mistrz Konrad, jakby słyszał...! **(zbabiałym nosowym głosem).** Bracie komturze — po wiedziałby — bracie komturze, myślcie, myślcie o wie — wie — wieczności — —

Komtur (nie widzi go ani nie słyszy)

Hans (obserwuje go niespokojnie. Namyśla się. Po chwili przysiada niby pies na tylnych nogach i zaczyna wyć i szczekać).

Komtur (warknął nie patrząc)
Zawrzyj pysk

Hans
Kiedy ja do ciebie Henryczku w poselstwie od Lianory —

Komtur (zwrócił od razu głowę)

Hans (śmielej już, prędko).
Każe ci rzec, że wielką boleść w sercu ma — do ciebie — żeś tego kaszubskiego gnoja nazwał jej bratem —

Komtur (nie zrozumiał — z zainteresowaniem i zatroskaniem)
He? Że co?

Cieśla
No boś mu powiedział, psi synu!

Komtur (prychnął łaskawie)
Co Lianora? Żarła co?

Hans
Ino się oblizywała.

Komtur (troskliwie)
Zdrowa?

Hans
Ba, jak rzepa! A wiesz kto ją uzdrowił?

Komtur (z coraz większym zainteresowaniem)
No, no — ?

Hans
Ona sama. Wiesz co zrobiła? Brat szpitalnik nalał je do miski jakisich leków, co, powiada, tajemnica ich aż ze Świętej Ziemi od niewiernych przywieziona. A ona obwąchała miskę, obwąchała a potym na nią nogę podniosła.

Komtur (słuchający z co raz żywszą, ilustrującą opowiadanie mimiką, wybucha śmiechem rozbawionego wyrostka).

Hans (pewny już powodzenia błaznuje śmiało).
A potym ci poszła do kuchni — a tam jak w sam raz stał kawał wędzonki — **(naśladuje żarłocznym, zasapującym się głosem)** dla phu-u pobożnego — phu-u — brata szpitalnika — porwała go — kuchta z warząchwią stał i gapił się takimi gałami a odebrać jej nie śmiał — poszła do kącika i spokojnie se smacznie zżarła — i zdrowa!

Komtur (aż się po udach bije z uciechy).

Hans (chytrze przypochlebiając).
Gadam ci Henryczku, że ta suka mądrzejsza od... **(ogląda się z udanym strachem i ścisza głos)** od całej malborskiej kapituły!

Komtur (pokłada się ze śmiechu, klepie błazna poufale po ramieniu, gada jak do równego sobie, z mściwą satysfakcją przytakuje)
Kapituły! Ha—ha—ha! Kapituły!

Hans (znaki milczenia z palcem na ustach niby: nie powiedz tego nikomu)
A nawet od tego — **nie kończąc pokazuje dłonią wyżej, co raz wyżej, co raz wyżej i bardzo już wysoko)** — tego, co wiesz — —

Komtur (prychnął z pogardliwą pasją i spochmurniał. Ale po chwili znowu w poprzednim poufałym tonie).
Ty, Hans, ty wiesz, że taki pies to dla mnie więcej wart, niż secina ludzi **(z dziką nienawiścią)** Ej, żebym ja się zwiedział, który to z tych **(wskazał ku miastu)** ją wczora kamieniem zranił! Ej żebym ja go w garści dostał! Sześć niedziel by zdychał a nie mógłby zdechnąć, takbym mu wymyślił.

Hans.
Henryczku, to już sam Belzebub za ciebie zrobi w piekle. To -ć mu pono nasze knechty łeb na miazgę rozbiły!

Komtur
Łżą! Szafarz widział jak się powlókł sam! Z kupą pospólstwa **(po chwili)** Ty, Hans! Jakbyś ty mi wywęszył, kto to był ten zbój i gdzie on siedzi — kubrak nowy dam!

Hans (pokazuje swój podarty but).
A ciżmy by tak na dokładkę jeszcze, Henryczku—?

Komtur.
Nawet i ciżmy, storzypiątko!

Hans.
Pan Jezus ci Najświętszy zapłać, Henryczku! I święty Jerzy! Że takie serce miłosierne masz! Bo widzisz okrutnie się trza będzie wiele nalatać, namyszkować, to i te szare w strzęp rozniosę.

Komtur
Nie łżyj. Czemu by okrutnie wiele nalatać?

Hans (poufale)
Bo łyki ozory zębami przygryzły, gęby pięścią zatkały — i nic! Ani pary puścić nie chciały! Bywało, że mnie i kijem poczochrał po grzbiecie niektóry! Toć wiesz, jak to teraz bywało między zamkiem i miastem. **(wypatrująco).** A no teraz, jakieście się pogodzili, to im może ozory poczną lżej w gębach chodzić — —

Komtur (milczy)

Hans (j. w.)
Jak se będą mogły w spokoju kołtuny przez święta napychać, to im zaraz i mowności przybędzie — **(coraz bardziej nerwowo).** I jak se jeszcze te burmistrze dziś u ciebie tu dobrze popiją... wędzony się nażrą i gęsi, pasa se popuszczą... to wszystkie Gdańszczany od razu zmiękną...

Komtur (milczy)

Hans
Żeby się ta ino, który z tych burmistrzów jaką kością tu u ciebie nie zdławił... bo by się wtedy znów Gdańszczany rozeźliły... Okrutnie ony o tych burmistrzów stoją i te ich wielmoże, co na workach z grosiwem legają i pospólstwo — o tych burmistrzów... A pospólstwo to najbardziej... o tego... tego rajcą... jakże mu tam..? Greis, czy jak? — coś go też zaprosił — — no, tego zięcia Leczkowa —

Komtur (milczy, nie patrzy)

Hans (coraz niepewniej i bałamutniej)
Jak o oczko w głowie o niego... Ba i nie dziwota — coby Gdańszczany same zrobiły, jakby tych nie stało i jakby — —

Komtur (podniósł nagle głowę jak uderzony jakąś myślą).

Hans (równie nagle z przerażeniem przytkał sobie usta. I zaraz chce to zamazać, zaczyna pleść gorączkowo, bezładnie).
A to ci mnie czasem... w zębisku szarpnie — jakby cęgami w piekle rwali... że... że się aż za pysk łapie... tak, tak boli. I to tak... wiesz Henryczku z nagła, zgoła... Siedzisz se, gadasz.. jak ja z tobą teraz i nagle.. szarpnie —

Komtur (spojrzał milcząco, podejrzliwie).

Hans (j. w.)
Prosiłem już brata szpitalnika o te... jego leki... od niewiernych... te — hy-hy-hy! co to Lianora na nie nogę podniosła... może by i mnie... Co Lianorze niedobre, to dla mnie w sam raz może być — — I... co to ja... Aha, o tych burmistrzach, co tu dzis mają żryć naszą wędzonkę — hy-hy — — żeby się nie zdławił ktory, jak bardzo będzie żerny — a oni to w sam raz po poscie... to gotowi wszystko zeżreć... I tego — że jakby się o to Gdańszczany rozjuszyły i... ugoda fijut! toby się jeszcze i ten hy-hy! — ten, co to wiesz **(pokazuje ręką jak przed tym: wysoko)** na ciebie o to rozeźlił — —

Komtur (ze złowrogim spokojem).
To, kto?

Hans (nie potrafi już ukryć przerażenia, jąka:).
Toć wiesz, Henryczku, no ten... w Malborku — —

Komtur (j. w.)
Kto?

Hans
No... wielki mistrz — —

Komtur (zrywa się jednym skokiem, wali Hansa w twarz, ryczy)
Rozeźlił?! Na mnie rozeźlił?! Pachoł ja jego, żeby się on na mnie źlił?! Ja komtur Guański psi synu i nikomu tu do mnie nic, ty świński ryju, ty piszczku sobaczy, ty! Ty mi tu śmiesz pysk plugawy otwierać, że na mnie kto może się źlić! Ja ci na mor dzie namaluję na czerwono takie igry, że ci ich i mój wielki braciszek z Malborka z gęby nie wydrapie!

Hans (który ouskoczył w najdalszy kąt, przykucnął tam i rozszerzonymi z przerażenia oczyma, trzymając się za twarz, dygocze, czy komtur nie zbliża się do niego).

Komtur (usiadł znów na kamieniu. Twarz stężała mu przerażająco. Myśli)

Hans (odetchnął. Lękliwie z oczyma wbitymi w komtura, wysuwa się ze swego kąta, waha, nie wie co począć. Kilka razy rozpędza się do gadania. Wreszcie żałosnym szeptem, który usiłuje zrobić komicznym, a z widocznym przerażeniem, jaka będzie reakcja komtura).
Od jednego rozmachu-ś mnie Henryczku, wyleczył z bólu zęba — —

Komtur (jakby nie słyszał. Po chwili twardym ruchem wstaje — Spojrzał na Hansa).

Hans (cofnął się)

Komtur (patrzy twardo i podejrzliwie. Bez słowa wchodzi do bramy)

Hans (opada na kamień. Szepce z desperacją:)
Po com to rzekł?... I co teraz...? Co teraz...? Biec jeszcze... do nich...? **i obejrzał na zamek. Tam właśnie stanęły na murze dwa knechty i patrzą nań.**

Hans (usiada szybko, Szepce).
Patrzą — —

(Z lewej wychodzi)

Rybak (z więcierzem. Chce się przemknąć szybko i niepostrzeżenie koło bramy. Spłoszył się na widok Hansa, chce go obejść z daleka)

Hans (popatrzył nań bezmyślnie).

Rybak (ze strachem).
Pochwalony —

Hans (spostrzegł nagle więcierz — myśli z natężeniem, zerwał się. Za rybakiem, który już wychodził w prawo.)
Ty! **(ujmująco)** a coście się tak ojciec przestraszyli?

Rybak (wyprasza się)
Do dom jak panie... I ryb nijakich nie mam — o, nic — puste — Od sąsiada więcierz ino — Ryb nie mam, sami widzicie — —

Hans
Nie trza mi ryb, ojciec, nie. Ino — pożyczylibyście mi ten więcierz!

Rybak
To na węgorze, panie, co wam z tego?

Hans (prosząc aż)
Oddam ci! Jak mi letka śmierć miła, że oddam! Do południa ino mi pożycz!

Rybak
Nie mogę, panie. Jak zbawienia pragnę! I nie mój to — od sąsiada! I na połów to— — **(ucieka).**

Hans (poderwał się za nim i zatrzymał. Patrzy na wypatrujących z muru knechtów, o po tym czujnie w uliczkę na lewo. Znowu namysł — i postanowienie nagłe. Wybiega za rybakiem!

(Na most wychodzi kilku ludzi z zamku. Opatrują łańcuchy zwodzące, po tym wracają do zamku. Dzwony na południe. Z lewej wychodzą:)

Leczkow, Hecht, Gross i Hukser)
(W następnej scenie toczy się żarliwa dyskusja pomiędzy Leczkowym, Hechtem, Grossem i Hukserem, w której burmistrzowie wyrażają obawę, czy zaproszenie ich przez komtura nie kryje podstępu. W końcu jednak decydują się iść na zamek, by dotrzy mać ugody).

Hans (wraca z więcierzem. Ujrzawszy tamtych poderwał się, zawahał, spojrzał nad bramę skąd wychyla się wypatrujący łeb knechta. Hans niby na nic nie zwracając uwagi, ani niczego nie spostrzegając manipuluje koło więcierza, tyłem zwróciwszy się do barmistrzów)

Leczkow
Wyjdzie na to, że się jej trzymamy, jak nie pójdziem?

Gross (milczy)

Leczkow
No gadaj, wyjdzie?

Gross
Jeszcze się przez to ugody nie zaprzem, jak nie pójdziem. Mogliby my jaki pozór wynaleźć.

Hukser (pożądliwie)
Jaki? Jaki?

Leczkow
Teraz? Jak my pod samym zamkiem? Wie to kto, czy nas nie wypatrzyli już, choć tu stoim?

Hecht
Tam ktoś już szedł.

Leczkow
I jaki by my pozór nie wynaleźli, nie ukryjem, że pozór. Ułatwi nam to sprawę? Nie. A teraz tak: wiedziesz nasz towar. Okrętem wozami — jak tam, zawsze wiesz: mogą cię w drodze napaść zboje, odebrać, ciebie poranić, zabić. Może na morzu zatopić sztorm. Zawsze, Wiesz. I jedziesz. Głowy nastawiasz zawsze. Jest tak, abo nie. Rzeknijcie sami!

Hecht (posępnie, ale zdecydowanie).
A no, dziej się wola boska.

Leczkow
Na coś się ważyć zawsze trza. Nie stare baby my, ino męże! Burmistrze! Rada!

Hukser i Gross (w milczeniu gotują się do pójścia)

Leczkow (aprobująco).
No.

(Skierowują się ku mostowi. Nim wyszli zza muru.)

Hans (tyłem do nich obrócony zawija w powietrzu więcierzem raz i drugi, celuje nim, zamierza się, niby to, łapie ptaki).

Knecht (na murze zamkowym wybucha śmiechem)
Co ty, głupi, robisz?

Hans
Ptaszki łapie.

Knecht
Więcierzem? Hy—hy—hy!

Hans
A ty ryja tak nie wystawiaj, bo ci go też złapię. O, leci — leci — hup! Mam go! **(chowa imaginacyjnego ptaka za pazuchę).** O, a teraz znów! To będzie gawron — juści, ani chybi gawron, o — a — hup! Jest! Będzie dla ciebie na pieczeń, Kunc.

Knecht (pokłada się od śmiechu, ale ujrzawszy nadchodzących milknie i daje znak rękami w podwórzec zamkowy).

Hans
O, a teraz **(zerknął nieznacznie ku nadchodzącym, którzy mimowoli przystanęli,** teraz, patrzaj — raz — dwa — trzy — trzy lecą — nie, cztery? O, o— dudki! Patrzaj: dudki, dudki! Czekaj no już ja je tu zaraz — o... o — skręciły w bok! Zmyślne psie bestie sobacze! Nie poszły — kołują — o, o **(zamachnął się więcierzem tak, że idący na przedzie Leczków z Hechtem cofnęli się odruchowo).**

Hecht
Z drogi, kpie!

Hans (podbiegł kilka kroków naprzód i, jakby ciągle ich nie słysząc i nie widząc do knechta)
O — teraz idą już prosto w sieć — czekaj — czekaj — —!

Leczkow i Hecht (popatrzyli na siebie)

Gross (do Hansa)
Co ty... robisz?

Hans (oglądając się na nich)
Widzicie sami: ptaszki łowię. Dudki.

Hukser (dygocącym głosem)
Wię...cierzem?

Hans
He—he! Głupie takie, to i do więcierza wlezą same!

Hukser (nagle fałszywym głosem, macając się po sukni).
Kumotrze Leczkow, zaczekajcie no, zaczekajcie...! Toć-em kluczy od komory i skrzyni w domu zapomniał; **(odbiegając w lewo woła:)** Za cztery pacierze tu będę z powrotem, ino te klucze wezme! Białki w domu nie masz, czeladź złodzieje wierutne — Migiem wracam! **(uszedł w uliczkę).**

Leczkow, Hecht i Gross (stają osłupiali spoglądając na siebie Hansa i za Hukserem. Wreszcie).

Gross (siląc się na spokój).
Zaczekać nam chyba na Huksera przystoi?

Leczkow (również już opanowany. Swobodnie) Juści możem. Aby nie długo.

Hans (wywijający dalej więcierzem, ciągle niby do knechta).
Czekaj, Kunc... O... o — teraz będą...! Nie...! Jeszcze kołują — **(ciszej).** O, popatrz się ino! Ten stary najzmyślniejszy świsnął precz —! O... o — już tam! **(pokazuje gdzieś w przestwór)** Po — szedł! Nie będziesz miał z niego pieczeni, Kunc — No, jeszcze te trzy — Kołują wciąż — uf! ażem się utrudził —

Leczkow, Hecht i Gross (niby przechadzając się odchodzą ku przodowi sceny. Cicha, prędka rozmowa:)

Gross.
Słyszycie...? Ten czwarty świsnął precz, powiada — —

Hecht (oglądając się za Hukserem — jakby nie wierzył sam sobie)
Uciekł...?!

Leczkow
Cicho. Wystrachanych gąb nie strójcie!

Gross
Toć on do nas to wszystko, skomoroch —

Hecht
My — dudki, co idą w sieć...?!

Leczkow
Czekajcie —

Hans (niby śledząc w powietrzu kotłowanie ptaków)
Kołujcie, kołujcie! Ja was i tak dostanę w sieć, o tu, tu, głupie! **(pociąga nosem).** Ino —wędzonka...? Z grochem — —. Juści wędzonka pachnie! Kunc, źrecie tam już wędzonkę? Czekajcież psiawiary, dla mnie ostawcie. Hy — naprzód wędzonka, ptaszki po tym! **(wbiega do bramy).**

Hecht
Hukser...? Wymiarkował i uciekł...? Czekaj...! Nie mogą widzieć, że się boim

*) PATRZ Nr 40 „TYGODNIKA WYBRZEŻA".

JAN PAPUGA

DECYZJA

Rozdział z przygotowywanej do druku powieści pt. „Czterech z Albatrosa"

Jarzące światło zalewało olbrzymią poczekalnię. Ludzie bez pośpiechu wchodzili i wychodzili. Twarze ich były wyraźniejsze niż zwykle, jakby oczekiwali ważnego zdarzenia. Innym pulsowała pod opanowaną maską radość, może już niedługo mieli się zobaczyć z kochanymi osobami. Wojna zamarła w tym kraju. Naloty lotnicze były już teraz rzadkością i nie były groźne. Smutnych twarzy prawie nie było, z wyjątkiem jednej pociągłej, suchej, z orlim nosem. Był w niej posępny ból. Młody chłopiec o męskich, śmiało rzeźbionych rysach, wyglądał jakby był mocno zmęczony daleką podróżą, postarzały o kilka dobrych lat. Robił wrażenie obcego, w tłumie białych, delikatnych, dobrze ubranych ludzi. Jakby dopiero co przybył z kraju o gorącym słońcu. Nastrój w poczekalni pełen spokoju i zadowolenia nie udzielał mu się, swoje osamotnienie czuł jakby tym wyraźniej.

Dobiegł wszystkich cichy, dźwięczny gwizd pociągu pędzącego gdzieś w czarnej nocy. Młodzieniec ocknął się, był to Józek. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że była to Lime Street Station, Liverpool, Anglia. Był jeszcze pod tyranią świeżej przeszłości. „Balboa" stał teraz w ciemnych dokach, wszyscy z pokładu poszli chyba na ląd. Dziś po południu zeszedł z okrętu. Wstrząsnął się, wspomnienia napawały go grozą. Z Aleksandrii płynęli do Mombasy po cukier, wrócili z powrotem i z ładunkiem bawełny szli dookoła Afryki. Znów piec Morza Czerwonego i długi, zdający się nie kończyć rejs. Wszystko to było jak okropny koszmar, ludzie, statek i zdawało by się, że zawsze obojętne morze. Wrażenia koszmaru nie mógł się pozbyć i teraz. Czyżby miało się wlec przez całe życie. To dziwne, że przetrwał, że Gaucho nie chciał odwetu, pod koniec rejsu siły go zupełnie uchodziły, że nie pchnął go nożem i nie rzucił za burtę. Stasiek pozostał gdzieś koło Mozambiku, tego nie uda mu się nigdy zapomnieć. Całe życie będzie widział jego oczy chłopięce, marzące, tak przyjacielskie, bez zwierzęcej agresywności, pod koniec pełne smutnej, spokojnej rezygnacji. Spazm wewnętrzny dławił go, tego nie uda się zapomnieć. Był chory, bardzo chory.

Megafon dobrotliwie zapowiedział jego pociąg. Wstał i skierował się na peron. Swój ciężki worek wysłał poprzednio do Londynu. Ludzie zewsząd sunęli tuż przy nim, twarze ich były ożywione. Była ciepła noc. Wszedł do pustego przedziału, po przeciwnej stronie w ostatniej chwili przed ruszeniem pociągu zajęło miejsce dwoje dziewcząt z A. T. S. Dziewczęta radośnie i cicho szczebiotały, ciesząc się, że jadą do Londynu. I on tam jechał, by zobaczyć Bolka. Przypływ ciepłej fali radości ogarnął go. Widział Bolka zawsze tętniącego życiem, pogodnego, rosłego, zadziornego. Takim był ostatnio w Glasgow. Nie umiał być smutny. Kiedy słyszał o ginących pod okupacją niemiecką krajanach, wściekła pasia miotała nim i pchnęła go do wojska. Teraz chodzi w niebieskim mundurze, bije Niemców, dla wszystkich innych jest męsko przyjazny i dziecięco prosty. Czyżby już był pilotem myśliwskim i latał? A może już nie żyje? — Nie, to nie możliwe, to była niedorzeczność, odrzucił tę myśl, chciało mu się śmiać. Bolek był uosobieniem życia, pięknym jego symbolem. Śmierć w zestawieniu z nim wydawała się śmieszna. Co mu powie o Staśku — zabolało go. Jakże to było okropne, jechał, bu mu zanieść straszną wieść, a sam po radość w swojej zgryzocie. Wyglądało to jakby — „ja cierpiałem, pocierp i ty". Przeboleją to obaj krótko, będą się cieszyć sobą. Pójdą na wódkę, by sobie opowiedzieć co się z nimi działo.

Na następnej stacji weszło do przedziału dwu żołnierzy. Pociąg znów wpadł w swój szalony bieg, pędził jak czarny smok w ciemnej nocy, tylko smugi iskier z komina padały na pola. Kiedy na zakrętach giął się, w żadnym oknie nie błysnęło światło. Z przeciwnej ławy dochodziły szepty coraz cichsze i krótsze, potem szmery obejmujących ramion. Żołnierze całowali dziewczęta. Józkowi zdawało się, że życie jest naprawdę radosne, tylko przede wszystkim musi zobaczyć Bolka.

W Crew wyskoczył z pociągu, tu miał przesiadkę. Wyszedł na miasto. Szarzało już, chłód wrześniowej nocy orzeźwił go z senności. Zaczął mżyć deszcz. Ulice zaroiły się szarymi ludźmi. Po mokrym bruku słychać było szurganie ich ciężkich kroków. Dziewczęta w kombinezonach dźwięcznie klapały swymi drewniaczkami. Ludzie pracy szli do fabryk. Twarze ich były zmęczone, twarde, beznamiętne, z jakimś tylko uporem wytrwania. To przypominało mu Glasgow i cały cichy trud i bohaterstwo wojenne tak bliskich mu ludzi. Nie byli dobrze odżywieni ani ubrani, często, jak widział, brakowało im mydła. To dziwne, że piętno wojny widział tylko na nich. Oni dawali żołnierzy, oni musieli pierwsi rezygnować z codziennych potrzeb i pracować z większym natężeniem swych mięśni. Zwycięstwo dawało im tylko możność kontynuowania pracy i spokojnego życia bez żadnych zaburzeń — jak przedtem. Jakże bezinteresowni byli w swej skromności. Kochał ich, on także z nich pochodził, choć jego kraj był daleko. Uczuł radość, że jest marynarzem. Chciałby im wozić z całego świata dużo jadła, by mieli go w bród. Robotnicy zniknęli z ulic. Szybko poszedł na dworzec i prawie w ostatniej chwili wpadł do swego pociągu. Aż do samego Londynu majaczył mu się świat i ludzie, świat porżnięty w jego wojennych wędrówkach. Na Victoria Station ledwo przedarł się przez tłum, znów w większym stopniu odczuł samotność, widząc wokoło witających się i całujących ludzi o roześmianych szczęściem oczach. Śpiesznie przedarł się i wsiadł w autobus. Z piętra spoglądał na ulicę, ludzie i ludzie. Wszyscy jacyś spokojni i radośni, tak odmienni od szarego tłumu z Crew. Chłonął to wszystko z ciekawością. Na Marble Arch wszedł znów w tłum. Kiedy mu się dobrze przypatrzył, wyglądał mu obcy ale przyjazny. Szedł wolno wdłuż parku. Na jednej z poprzecznych ulic 5 Devonshire Terrace zobaczył wywieszkę „Rooms to let". Zadzwonił, otworzyła mu młoda dziewczyna w białym fartuszku, zajęta przy rannym sprzątaniu. Z miłym, familijnym uśmiechem pokazała mu pokój na drugim piętrze, jakby mówiła: „będziemy razem mieszkać, będę dbała o ciebie". Dała mu klucze i zawołała za wychodzącym:

— Tu będziesz się czuł dobrze, sami spokojni ludzie.

Popędził zaraz na stację po swój worek. Wykąpał się i zdrzemnął ze dwie godziny. Wyszedł na miasto. Od pierwszego spotkanego lotnika polskiego dowiedział się adresu Komendy Lotnictwa Polskiego. Już było późno, biura były zamknięte.

Następnego dnia wstał wcześnie i szybko popędził do Komendy Lotnictwa. W biurze radością go napełnił nastrój tam panujący. Wszędzie były orły i ludzie mówili jego językiem. Pracowały również dziewczęta w mundurach kobiecej służby pomocniczej. Śmiał się do nich i gdyby nie poważni oficerowie rzucił by kilka dowcipów i spróbował flirtu. Jedna z nich, zdawało się mu najładniejsza, wskazała mu pokój. Wszedł z bijącym sercem i wyłożył siedzącemu kapitanowi — inwalidzie o jednej ręce — o co mu chodzi. Kapitan zbliżył się do szafy, wyjął książkę z kartotekami, przerzucił ją i włożył z powrotem. Wyjął następną, wolno odnalazł potrzebne kartki. Podszedł do biurka z rozłożoną księgą papierów. Utkwił swoje spokojne oczy w Józku.

— Kapral-pilot, Bolesław Wątoł został zestrzelony nad Kanałem i zginął, siedemnastego sierpnia tego roku.

Radość, z jaką tu pędził prysła, jak by ją piorun trafił. Chciał coś powiedzieć, zaczął się jąkać. Opanował się, zrozumiał, że tu więcej się nie dowie, zresztą na co, te słowa, które słyszał zawierały okropną prawdę nie ulegającą żadnej zmianie. Nie mógł się jednak na to zdobyć, by zaraz wyjść.

— Panie kapitanie — chciałbym więcej o nim wiedzieć, jak to się stało — jęknął cicho.

Kapitan popatrzył na niego, chciał już powiedzieć, że to wszystko co wie. Ruszył jednak w stronę okropnej szafy, znów przerzucał kartki, w końcu znalazł świadków tego zdarzenia.

— Jest jeden z nich z tej akcji na urlopie tu, w Londynie — napisał zaraz na kartce nazwisko, adres i podał mu.

To było wszystko. Podziękował i wyszedł. Nie wiedział nawet kiedy przeszedł przez pokój z ładnymi dziewczętami. Na ulicy zapalił papierosa, chciało mu się usiąść na chodniku z nogami spuszczonymi w rynsztok. Popatrzył na kartkę, trzeba tam iść — dodało mu siły. Gdy się zawlókł, dziewczyna w podobnym białym fartuszku jak i w jego domu powiedziała mu, że sierżanta Graba nie ma teraz, że często wieczorem przebywa w White Eagle Club. Napisał szybko, że tam go będzie oczekiwał dziś i jutro wieczorem i zostawił kartkę dziewczynie.

Poszedł tam znów wcześniej niż zapowiedział. Wspaniała kamienica — pałac na Hyde-Parl. Po stopniach wszedł na wysoki parter, uprzejmy młodzian o akcencie czeskim poinformował go, że bar jest na pierwszym piętrze. Piął się w górę po białych, marmurowych schodach. Na ścianach freski były osłonięte brązowym materiałem. W wielkiej sali barowej przy stolikach w głębokich wygodnych fotelach siedziało dużo cywilów i trochę oficerów.

(Dokończenie nastąpi)

(Dokończenie ze str. 4-ej)

Hecht (gorączkowo)
To w uliczkę my — tam rybaki — do nich — byle choć topór dostać w garść... Jakby nas gonili...!

Leczkow (zatrzymując go)
Czekaj...! Nie mogę widzieć, że się boim! Czekaj! Głowy na karku mieć! Patrzajcież, widzą żeśmy nie weszli — a nic! Toć by nas mogli w każdej chwili zagarnąć! A nic! Spokojnie! Nic się w zamku nie rusza!

Hecht (odsapnął)
Juści! Prawda! I to prawda! I wędzonkę (węszy) naprawdę dla nas warzą!

Leczkow
Ni za Hukserem nie pogonił nikt!

Gross
Nie o Huksera im! O nas!

Leczkow
To po co by i jego komtur zapraszał?

Hecht
Po co by i jego?

Leczkow
Hukser kutwa, dusigrosz mógł naprawdę klucze zapomnieć!

Hecht
I w sam raz se przypomniał teraz, jak Hans — !?

Leczkow
Zresztą to nie ma do sprawy nic, czemu Hukser —! Choć i z kluczami zełgał a ze

Gross
A Hans ze swoją siecią — to tak sobie ino....? Czcze igry ino takie...?

Leczkow
Igrami skomorocha mamy się powodować. strachu.
Wedle nich czynić? I miastem rządzić?! Hańba by nam była!

Gross
Toć on wczora już nie w igrach —

Leczkow
Tyle on w głowie pomyślenia ma, co w kuflu znajdzie!

Hecht (do Grossa)
Co gadacie, że on wczora...?

Gross (mimo, że Leczkow chce mu przerwać).
Ostrzegł mnie by nie iść.

Hecht
Hans? Was?

Gross
Bom mu raz głowę był uratował.

Leczkow
Ostrzegał, ino sam nie wiedział przed czym i czemu! To dziś to samo powtarza!

Hecht
A pewnikiem nie wiedział czemu?

Gross
To, to pewnikiem.

Hecht
To dla czego —?

Leczkow
Pijanica! Bajdurzy, sam nie wie co! Jak by komtur zdradę gotował, nie zmiarkował by tego i skomoroch; Znam ja ich dobrze i sposoby! I jakże by to miało być? Że my spod bramy zawrócili, bo nas taki skomoroch — zawołoka wystraszył? Starym białkom by my na pośmiech byli! Do prześlicy by my dobrzy byli już, nie na ratusz! Gadajcież sami, czy nie!

Hecht (posępnie)
To — juści — —

Leczkow
[illegible]

Gross
[illegible]

Hecht
[illegible]

B. GARBATOW

WIELKA WODA

(ciąg dalszy)

A tundra dzwoni i śpiewa. Władca jej umiera, lecz dla niej nie ma to znaczenia. Wszystko toczy się dalej: ruszają rzeki, topnieją śniegi, strumienie spływają do zatoki, foka — robi małe przeręble w wodzie, wszystko trudzi się dla wiosny, zachowując odwieczny porządek rzeczy.

Trofimow troszczy się o łaźnię, Mitiaj — o nóż myśliwski, Arseniusza dręczy zazdrość, Żdanowa — miłość, sąsiad — czeka na Nastię, czajka krzyczy, przebiega lis, foka wygrzewa się na słońcu. I nawet gdyby wuj Tereń umarł — tak samo sąsiad oczekiwał by swojej Nastii i cieszył by się z jej przyjazdu.

Wreszcie w oddali zaniebieszczył się przylądek Lembierowa. Jest to ostatnie zimowisko w drodze na Dikson. I nawet na mapach jest wypisane: „przylądek Stiepana Lembierowa". A przecież Lembierowa wuj Terań znał osobiście. I nie jeden raz popijali dla rozgrzewki. Stiepan Lembierow był prostym człowiekiem, tobolskim cieślą i poganiaczem psów; przeżył długą włóczęgę na północy, brał udział w pierwszej ekspedycji Ziglera na Ziemię Franciszka - Józefa, a potem w ekspedycji na „Hercie", poszukującej Siedowa, w końcu zamieszkał na Diksonie, wybudował łaźnię, a w roku 1920 umarł. Dotąd jeszcze na jego mogile stoi szary, drewniany krzyż — a na mapach drukują jego nazwisko. Nazwisko Dziada Kurasza jest również na mapie. Być może, że zatoczkę, nad którą mieszka teraz wuj Tereń — nazwą także kiedyś jego imieniem... Bądź co bądź nie zejdzie człek z tego świata bez śladu, nie stopi się — jak śnieg na wiosnę...

Rozmyślając tak o życiu i śmierci — wuj Tereń zbliża się do chaty Powojnikowych. Schyliwszy się, wchodzi do niskiej sieni, otwiera naoścież drzwi z poza których dolatuje krzyk i płacz — i wpada w bójkę. I gdyby nie odskoczył stary w bok — zostałby niechybnie trupem! Obok niego, z gwizdem przelatuje stołek, uderza w drzwi i rozlatuje się w kawałki!

To bracia Powojnikow biją się. Twarz młodszego podrapana jest aż do krwi — z wargi starszego spływa czerwony strumyczek; ma zapuchnięte oko. Baby przeraźliwie piszczą i pchają się do bójki. Żona starszego — chuda jędza, rozczapierzywszy palce — skacze przeciwniczce do oczu; pazury jej są straszne. Żona młodszego — pulchniutka, maleńka, w poszarpanej bluzce, broni się jak może ale — raczej łzami.

— Pokój temu domowi — ponuro mówi wuj Tereń i zrzuca worek z pleców. Powojnikowy milkną odrazu. Baby z pośpiechem zapinają bluzki, młodsza chowa się za zasłonę. Bracia wycierają krew z twarzy i zawstydzeni odwracają się.

Wuj Tereń podchodzi do stołu w milczeniu, siada powoli i kładzie ręce na stół.

— Wczesną mamy wiosnę — mówi — jak gdyby nigdy nic. Na Szerokiej już trzy dni temu ruszyły lody. Łowcy delfinów powiadają, że lód jest już przy Gardle. Wzrok jego obojętnie wędruje po izbie. Połamane stołki, powalone ławy, kołyska, w której płacze dziecko. Obojętnie pyta: No i cóż? Czego nie możecie rozdzielić?

Starszy Powojnikow, to ogromne, kudłate, leniwe chłopisko, obdarzone zwierzęcą siłą, młodszy — krętacz i złodziejaszek. Z reguły młodszy szuka zaczepki. On też z reguły jest bity. Żona starszego to baba — wiedźma, żona młodszego — głupia owca. Widocznie rozpoczęła starsza, ona też musiała rozjątrzyć męża.

Wuj Tereń wie o tym wszystkim doskonale i kiedy pyta nie ma zupełnie nadziei pogodzenia braci i ich żon.

Perwszy zaczyna wyliczać swoje krzywdy młodszy Powojnikow. Mówi piskliwym babskim głosem, rzucając złe spojrzenia na brata i jego żonę. Starszy milczy zmieszany — zamiast niego mówi żona. Zagłusza wszystkich i zasypuje wuja Terenia istną górą plotek i krzywd, a wszystko to są drobne powszednie sprawy, które stwarza ciężki byt. Izba jest ciasna, a ludzie — nastroszeni jak jeże w norze.

Trudno jest być sędzią w takiej sprawie. Jednak wuj Tereń usiłuje uczciwie zorientować się we wszystkim.

— Poczekajcie, obywatele, mówi surowo, zakładając okulary. — Po kolei. Semion, co mówisz o potrzaskach?

Ale odgłosy kłótni zagłuszają go, więc machnąwszy beznadziejnie ręką, milknie i zdejmuje okulary.

Spór wybucha z nową siłą. Piskliwie krzyczy młodszy Powojnikow, wymachuje rękami i zwracając się do wuja Terenia, cały czas zezuje na żonę brata. Żona starszego wymyśla ochrypłym głosem. Żona młodszego syczy za zasłoną. W końcu starszy Powojnikow, który milczał do tej pory, nie mogąc już dłużej wytrzymać, bije pięścią w stół i ryczy coś niezrozumiale, zagłuszając wszystkich swym potężnym głosem. Teraz już bójka jest nieunikniona.

Ale wuj Tereń, o którym zupełnie zapomniano w tym rozgardiaszu, słysząc płacz w kącie, wstaje, podchodzi do kołyski, nachyla się nad niemowlęciem i mówi z gniewem:

— Eh, ludzie, ludzie! Dziecko obudzili... Rodzice! Czy dlatego, że powiedział to z głębi serca, czy dlatego, że spór wygasł, Powojnikowy od razu zamilkli.

Wuj Tereń nie zostaje dłużej u Powojnikowych. Nie ma ani czasu, ani chęci.

W sieni młodszy brat wsuwa ukradkiem staremu karteczkę.

— Wyślij telegram, szepce podniecony, niech nas rozdzielą z bratem. Zabije mnie.

Starszy dopędza wuja Terenia już za przylądkiem. Ściąga czapkę i podaje staremu arkusz. Wuj Tereń nie czytając kładzie telegram do worka.

— Eh, ludzie, ludzie! Kiwa głową. — Jak zwierzęta w norze.

Powojnikow ze wstydem opuszcza kudłaty łeb.

— Nie potępiaj, prosi ochryple, rozkładając ręce.

* * *

Daleka jest droga do morza sinego, hej!
Ciężka jest droga do wyspy skalistej, hej!
Gdzieżeś ty maszcie, gdzie zwiastunie
Hej!

Oto maszt — zwiastun wystrzela już ze mgły. Oto czarne skały. A za skałami już sine morze. Droga dobiegła końca.

Wuj Tereń wchodzi na zatokę Dikson. Śnieg spełzł już z lodu i zatoka wygląda jak podwórko dobrego gospodarza — czysta jakby ją miotłą wymiótł. Tylko zagłębienia lodu ciemnieją od brudu, ale i one są zaciągnięte cienką, przezroczystą skorupką lodową. Przypomina to szklane kule, zdobiące komody.

Wuj Tereń udaje się przede wszystkim do radiostacji. Tu wytrząsa swój worek i obserwuje jak na falach eteru ulatują i troski Trofimowa i zazdrość Arseniusza i miłość Żdanowa. Ostatni radiogram jest już wystukany. Teraz wuj Tereń musi czekać. I słuchać. Siedzi w messie, otoczony ludźmi północy, popija z dużego kubka kawę, rozkoszuje się cytryną w cukrze i słucha. Słucha chciwie, bo o wszystkim musi wiedzieć i co się dzieje na świecie i jakie idą konwoje i gdzie teraz rusza lód. Spowity kłębami dymu siedzi godzinami przy głośniku, długo stoi przed mapę, na której chorągiewkami są barwnie wyznaczone trasy okrętów.

Wypytuje spikerów, telegrafistów, marynarzy z zimującego rybackiego statku. — Ludzie chętnie z nim rozprawiają, umie on i zapytać i posłuchać i swoje dorzucić. Niczego nie zapisuje — to nie leży w jego zwyczajach, nie wie nawet, że nowiny można zapisywać, ale co usłyszał i zrozumiał, to już trwale będzie pamiętał. Kucharz mówi, że wuj Tereń jest całkiem nadziany nowinami, a staremu wciąż się wydaje, że wie jeszcze za mało.

Długo na Diksonie nie można zostawać. Wiosna przynagla: wczesna jest w tym roku. Jest już w całej krasie: mgły i deszcze. To jest właśnie podbiegunowa wiosna. Wuj Tereń zestawia w głowie daty, powrotna droga będzie o wiele trudniejsza.

— Spędź z nami lato, wuju Tereń, proponują radiotelegrafiści, ale on tylko kręci przecząco głową.

— Ja, miły człowieku, w żaden sposób nie mogę zostać. Na mnie ludzie czekają.

Jednakże i wracać niesposób. Już ze wszystkich krańców nadeszły odpowiedzi na telegramy, tylko od kobietki Arseniusza wciąż nie ma i nie ma.

— Eh, co za baba, jaka nieużyta, złości się wuj Tereń, ale nie opuszcza wyspy, czeka: jakże bez telegramu pokazać się Arseniuszowi?

Patrzy z niepokojem jak deszcz topi lód na zatoce, jest już on cały w dziurach jak ser. Na północnych stokach gór śnieg poczerniał i zjeżył się. A baba wciąż nie odpowiada. Przeleciał nad wyspą pierwszy klucz gęsi — to już prawdziwy ciąg, a odpowiedzi nie ma.

Wszystkie terminy już przeminęły, a odpowiedzi nie ma i nie ma. Radiotelegrafiści postanowili pomóc wujowi Tereniowi w tej biedzie.

— Przywołamy ją do telefonu. Chce czy nie chce — musi się zgłosić.

I rzeczywiście, następnego dnia wuja Terenia wezwano do radiostacji. Stanął przed mikrofonem i usłyszał kobiecy głos.

— Hallo! — Słucham...

Stary całkiem się speszył. Jakże to, przecież to głos z Moskwy. Przecież on zaraz coś powie, a w Moskwie usłyszą. Słowa zbędnego nie można powiedzieć — cały świat ciebie słyszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przetarg nieograniczony

Polskie Biuro Podróży „Orbis" ogłasza przetarg nieograniczony na wykonanie robót:

1) Instalacji wodociągowo — kanalizacyjnych — gazowych, ciepłej wody, urządzeń sanitarnych i t. p.

2) Remontowych instalacji elektrycznych w budynku hotelu „Orbis" w Szczecinie, ul. 3 Maja Nr. 1.

Ślepe kosztorysy, formularze ofertowe i warunki obowiązujące oferenta są do przejrzenia i nabycia w biurze hotelu „Orbis". Oferty należy składać w biurze hotelu „Orbis", lub przesłać pocztą do dnia 12 listopada 1948 r. do godz. 12-tej, o której to godzinie nastąpi otwarcie ofert. Do oferty należy dołączyć kwit Komunalnej Kasy Oszczędności w Szczecinie, konto Nr. 66 lub książeczkę Komunalnej Kasy Oszczędności zawinkulowanej przez P. B. P. „Orbis" jako wadium przetargowe w wysokości 2 proc. od sumy przetargowej P. B. P. „Orbis". K-2565

CENTRALA SPÓŁDZIELNI OGRODNICZYCH

Spółdzielnia z ogr. udz.

dawniej: Centrala Gospodarcza Spółdzielni Ogrodniczych R. P.

Okręgowy Oddział w Szczecinie, ul. Żółkiewskiego 12a

telefon 28-88 i 29-02 skrót telegr. „Ogród Szczecin"

prowadzi popularną

SPRZEDAŻ ZIEMNIAKÓW

po cenach urzędowych

hurtowych (powyżej 1.000 kg) a zł 684.- za 100 kg

półhurtowych (do 1.000 kg) a zł 720.- za 100 kg

posiada stale na składzie:

a) wszelkie świeże warzywa, owoce, przetwory owocowe-warzywne (kapusta kwaszona, ogórki kwaszone i konserwowe, marmelady, powidła, pulpę pomidorową, susze owocowe i t. p.),

b) narzędzia, artykuły ogrodnicze, pszczelarskie, nasiona i t. d.

Zaopatruje w warzywa i przetwory Zakłady pracy, Instytucje Spółdzielnie Spożywców po cenach specjalnych.

CENTRALA HANDLOWA PRZEMYSŁU ELEKTROTECHNICZNEGO

ODDZIAŁ W SZCZECINIE

SZCZECIN, ul. Kaszubska 5
Tel.: 33-91

Adres telegr.: Elektrocentrala Szczecin
Konto bankowe: Narodowy Bank Polski, Oddz. w Szczecinie, Rachunek Żyrowy

WŁASNA SIEĆ HANDLOWA

Hurtownia Nr 51
Szczecin, ul. Kaszubska 5
Serwis Akumulatorowy
Szczecin, ul. Armii Czerwonej 2
Serwis Radiowy
Szczecin, Al. Wojska Polskiego 51
Sklep Detaliczny Nr 1
Szczecin, Al. Wojska Polskiego 51
Sklep Detaliczny Nr 2
Szczecinek, ul. 9-go Maja 29
Sklep Detaliczny Nr 3
Słupsk, ul. Deotymy 24
Sklep Detaliczny Nr 4
Wałcz, ul. Kilińszczaków 63

poleca

wszelkiego rodzaju aparaturę grzejną i sygnalizacyjną
aparaturę oświetleniową (żyrandole, lampy, oprawy)
sprzęt zabezpieczeniowy, łącznikowy i instalacyjny
sprzęt izolacyjny
kable i przewody
ż a r ó w k i
odbiorniki radiowe, prostowniki, wzmacniacze, mikrofony, oscylografy, oraz części
akumulatory, baterie, ogniwa wszelkiego typu

Nasze serwisy oprócz działalności handlowej przeprowadzają naprawę artykułów danego działu branżowego, udzielają porad fachowych

FRANCISZEK FENIKOWSKI

„Dźwięk i kolor" Mickiewiczowskiego morza

„Nie tylko dźwięk i kolor — aniołowie myśli,
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana"

skarżył się Mickiewicz w jednym ze swych sonetów. Skarga to chyba niezbyt szczera. „Dźwięk i kolor" stanowi przecież ważną cechę jego utworów powstałych w Rosji. Poeta miał niezwykle wyczulone ucho na „natury głosy", widział zas rzeczywistość okiem plastyka. „Mickiewicz — (wg. Stanisława Witkiewicza) — zawsze i wszędzie widzi świat jak malarz. Nazwisko ani przeznaczenie rzeczy nie wystarcza mu, on musi dać kształt i barwę". Witkiewicz na udowodnienie swej tezy brał przykłady z „Pana Tadeusza", znalazłby jednak i w utworach morskich. Również bowiem do tematów marynistycznych podszedł poeta jako malarz.

Nowe to było w historii naszej poezji morskiej. Kochanowski kolorystą nie był. Co do „zjawisk świetlnych — jak stwierdził prof. Dobrzycki — ustępował nawet Rejowi". Jeśli w „Proporcu" zdobył się na motyw połyskujących fal, to tylko dzięki Wergiliuszowym wzorom. Borzymowski „zdaje się—wg. prof. Pollaka — nie dostrzegać gry kolorów morza, czasem tylko chwyta kształty i ruchy, tu i ówdzie utrwala w słowie ich warkot i szum". Więcej nieco malarskiej wrażliwości ma Korczynski, autor „Złocistej przyjaźnią zdrady", u którego „jarzębiate wody cmią się i złocą". Grotowski pisząc w swej „Podróży morskiej":

„Nic nie widać, jak tylko w pianę obrócone
Wody na oceanie z natury zielone"

ogranicza się jedynie do stwierdzenia zmiany barwy.

U Mickiewicza paleta kolorów jest o wiele znaczniejsza. Oprócz srebra, błękitu, lazuru, modrości, zieleni, „krwawej" czerwieni, barwy koralu, czerni, bieli i perłowości, poeta rozróżnia całe gamy tęczowych lśnień, utrwala grę światła słonecznego na wodzie, chwyta impresjonistycznie niemal zmiany kolorów przez dal czy drżenie fal.

Morze Mickiewicza jest coraz to inne. Inaczej wygląda w Połądze, kędy „białe roztrąca się" gniewnie o brzeg, inaczej na wysokości Tarkankut, gdzie „rozjaśniona woda" zaledwie się porusza, inaczej podczas burzy, kiedy je poeta oświetla po rembrandtowsku „krwawym" zachodem słońca, inaczej jeszcze oglądany ze szczytu Czartyrdanu, gdzie wydaje się „błękitnym polem", po którym żegluje „śnieżna wyspa" — chmura.

Nie brak i innych barwnych obrazów, chwytających grę świateł, kolorystyczne kontrasty, wreszcie zmiany kolorów. „Perły ze dna... świecą... przez falę", a potym „zamierzchają na dnie i gasną". „Krasne konchy" mają „mroczne łona". Srebrne są wody morskie w „Kartofli", a ziemia w oczach odpływającej od lądu załogi Kolumba „coraz to w wodę zachodząca blednie". Wreszcie „znikome jak senne marzenia" roślinki podwodne mają barwy „zmienniejsze do tęczy promienia".

Poeta nie małą wagę przykłada do oświetlenia obrazu. Te same rzeczy jakże różnie wyglądają zależnie od pory dnia czy nocy. Bałwan dążący nocą na brzeg Bajdaru jest „czarny, wydęty". Kiedy w Auszcie oświetli go słońce pianę nasycają mu blaski i w tych „szumach jego gra światło, jak w oczach tygrysa". Jeszcze bogatsze kolorystycznie są fale śledzone przez Mickiewicza w Ajudahu. W ich obrazie mamy połączoną grę świateł, barw i kształtów... „spienione bałwany to czarne szeregi ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi w milionowych tęczach kołują wspaniale". Migot łamiących się w falach promieni słonecznych wykorzystuje poeta również w „Rozumie i wierze":

„... Promień światła, który słońce rzuci
Na szumnej igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci".

Podobne refleksy świetlne przy bardziej wzburzonym i mroczniejszym morzu opisuje Mickiewicz o kilka strof dalej:

„Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz
Powietrze ciemnisz chmurami mokrymi
I spadasz gradem..."

Trzeba przyznać, że poeta nie przeocza ani jednej iskry rozbłyskującej na wodzie. Minęły już czasy, kiedy w kowieńskim „że glarzu" malował burzę szablonowymi „czarnymi chmurzyskami" i błyskiem gromu, a barwę wody bałtyckiej określał bardziej konwencjonalnie niż zgodnie z prawdą jako „lazurową" i widział pod nią korale i perły.

Ostrość i świeżość spojrzenia Mickiewicza na morze uwydatnia najlepiej scena utopienia Leili z „Giaura". Stanowi ona bezsprzecznie własność naszego poety — tłumacza. Byron bowiem patrząc na zatokę, gdzie przed chwilą rzucono nieszczęśliwą kochankę, twierdził tylko, że kształt jej „znikając z oczu, jak malejący kamyk, osunął się coraz mniejszy i mniejszy — plamka biała — błysnął na fali i zadrwił sobie z wzroku". Mickiewicz tłumacząc angielski poemat nie poprzestał na tym. Patrząc dalej na morze widział jak:

„. . . . . wodne obręcze
W mniejsze i węższe ściskały się tęcze,
Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;
Na koniec w środku wyszła bańka wodna,
Perłowe kółko ...błysnęło, przepadło...
Znowu zatoka gładka jak zwierciadło".

Nikt tak dotąd nie namalował słowami mieniących się na wodzie kręgów. Malowidła tego, które przypomina czytelnikowi znany obraz Podkowińskiego, nie powstydziłby się żaden impresjonista.

Nie mniej wnikliwie wsłuchiwał się Mickiewicz w muzykę morza. Trudno nawet określić w której z tych dwóch dziedzin był większym mistrzem. Granica między światami barw i dźwięków nie raz mu się zacierała. Napisał przecież w „improwizacji":

„A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr, gdy fale kołysze..."

Poeta „lubił łoskot rozhukanej fali", jak to ustami Konrada Wallenroda powiedział w swym poemacie. Romantyzm interesował się głosami przyrody. Modne były w tym okresie rozmowy na ten temat. O „morskich szumach" rozmawia przeciez z egzaltacją Telimena z Hrabią w „Umizgach". Mickiewicz jednak daleki był od podobnie powierzchownego traktowania sprawy. On pragnął się raczej:

„Wsłuchać w szum wód głuchy, zimny i jednaki
I przez falę rozeznać myśl wód jak przez znaki".

Nieraz zdaje się ją rozumieć. Podsłuchał mowę morza i nauczył się nią posługiwać. Z zamiłowaniem używa onomatopei. Słyszy jak podczas rejsu Kolumba „tryskają cięte miedzią krople, jak „wiatry świszczą żagle", jak „grzmiącymi piersiami" roztrąca się morze w Połądze. „Szum" fal zwiększa mu się w uszach, bałwan „z hukiem" na brzeg dąży, promień na „szumnej" gra topieli.

W „Zegludze" naśladuje poszum wiatru słowami: „Wiatr! Wiatr! dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła". Dzięki nagromadzeniu w tym wierszu spółgłosek szczelinowych udało się poecie doskonale odtworzyc poszum wichru wśród wand i żagli.

Arcydziełem jest fonetyczny obraz burzy wietrznej. W mistrzowsko zwęzłym dwuwierszu:

„Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki..."

mamy zawarte wszystkie wrażenia słuchowe, jakich dostarczyć może sztorm i tonący statek. Słychać w nim, dzięki umiejętnemu operowaniu odpowiednimi głoskami, wyraźne zrywanie płacht żaglowych, ryczące fale morskie, szum wichru, złowieszcze pluski i zgrzyty pomp. Świetną onomatopeją jest tez „wicher z triumfem zawył"... Tu połączenie samogłoski „y" ze spółgłoskami szczelinowymi daje czytelnikowi zupełne złudzenie prawdziwego wycia skwału.

Nie ogranicza się jednak Mickiewicz jedynie do odtwarzania głosów wichru, burzy i szalejących fal. Równie czułe utrwala najcichsze szepty i westchnienia morskie. Kiedy czytamy:

„Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie..."

przypomina nam się odrazu leciutki szelest wimpla na maszcie poruszonego jakimś ledwie dostrzegalnym wiatrem, a deklamując o „cichymi grającej piersiami wodzie", ze „zbudzi się, aby westchnąć i wnet znowu uśnie", słyszymy zda się szept odbijającej się o burtę cichym podmuchem zbudzonej wody.

Głosy morza słyszy poeta i na lądzie. Step unosi go „falą łąk szumiących". Koń „Karysa" zanurza w piasek kopyta „z głuchym szumem jak w nurtach wody stal gorąca". Gdy zaś zajdzie się w lesie pod szumiącymi koronami drzew mówi Mickiewicz:

„Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało"

Dużo — jak widzimy — ma poeta czasowników na odtworzenie „głosów natury". Wiatr u niego świszcze, szumi, wyje, wzdycha, i delikatnie muska flagę. Morze grzmi, huczy, łaskocze, szumi, gra cichymi piersiami, tryska i ryczy. Słynna burza opisana przez Homera w V księdze „Odysei" jest w zestawieniu z opisami Mickiewiczowskimi i kolorystycznie i przede wszystkim, akustycznie niezwykle uboga. Mówi się, że Homer był ślepy, kiedy jednak czytamy jego opis sztormu nasuwa się nam przypuszczenie, że był raczej głuchy. Mickiewiczowi natomiast, po wsłuchaniu się w onomatopeje jego wierszy, musimy przyznać, że miał prawo powiedzieć:

„ . . . . . me śpiewy
Długie, przeciągłe jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą..."

ANDRZEJ POROJŚĆ

PONIEMIECKIE KSIĄŻKI

Przeglądałem w ostatnich czasach dużo książek po-niemieckich. Pochodzące z najdalszych zakątków kraju, wygrzebane z zakurzonych szaf, ze strychów, z piwnic i zakamarków, gdzie niejednokrotnie czekały w kolejce na wywędrowanie do pieca, wydobyte stamtąd przez „specjalistów", którzy długimi nosami umieją wywęszyć, co znajduje się na poddaszu plebanii, w nieopalanym pokoju zarządu miejskiego, czy w przeznaczonej na lekarstwa szafie u aptekarza, zwożone tryumfalnie na ciężarowkach — piętrzą się teraz w sięgających sufitu górach, zapełniając wiele sal zbiornic. We Wrocławiu, w Chojnowie, w Katowicach i Bytomiu, w Krakowie, Poznaniu, Szczecinie i Toruniu trwa ciężka, nie raz bardziej fizyczna niż umysłowa praca nad najogólniejszym chociaż rozsegregowaniem tych zwałów książek, z których z kolei pracownicy poszczególnych zakładów naukowych wybierają dla swych bibliotek odpowiednie egzemplarze.

Nie o tę pracę jednak w tej chwili mi chodzi. Takie zbiorowisko książek, nim upo rządkowane i skatalogowane stanie wreszcie na półce jakiejś biblioteki, posłuszne dłoniom i oczom czytelnika, który z nich istotną ich treść wydobędzie — stanowi na razie jedną wielką rewię tytułów, która już sama daje wiele wiadomości i zmusza do pewnych refleksji.

I bez zgromadzenia w zbiornicach niemiecka produkcja wydawnicza nie stanowiła już też z poszczególnych aspektów, odwiła nigdy tajemnicy. Znana jednak była zazwyczaj od strony swej globalnej wielkopowiadających zainteresowaniom danego czytelnika. Uporządkowana według działów na półkach bibliotecznych i księgarskich, w skrzynkach katalogów i w spisach bibliograficznych nie dawała tak jaskrawego przekroju, jaki ukazuje dzisiaj w tych przypadkowo dobranych zbiorach.

Ta przypadkowość jest ich szczególną zaletą. Książki pochodzą „zewsząd". Z bibliotek publicznych i prywatnych, szkolnych, miejskich, kościelnych, naukowych. Książki, które stały w domach inteligencji i w domach ludzi niewykształconych: u chłopów i dworach junkierskich, w mieście, mia steczku i na wsi. Zebrane dziś w jednej wielkiej sali stanowią wspaniały wykładnik kultury społeczeństwa, którego były niegdyś własnością. Od pierwszego rzutu oka ukazują, w ogólnych zarysach, skalę zainteresowań i mentalność tych ludzi, są pryzmatem, przez który widzieli oni świat.

Nie pozbawione słuszności jest zdanie, że Niemcy pisali „o wszystkim". Rzeczywiście, trudno jest znaleźć jakikolwiek fragment zainteresowań ludzkich, któremu by nie poświęcili uwagi. Jeśli jednak i w ilości opracowanych tematów i w liczbie publikacji poświęconych każdemu z nich nieproporcjonalnie górowali nad nami, to nasuwa się pytanie, jaka była tego przyczyna. Czy mieli oni tak niewspółmiernie większą ilość literatów i naukowców, którzy wykonywali całą tę pracę, czy też odmienna była struktura wewnętrzna zespołu „ludzi piszących"?

Przegląd leżących po zbiornicach książek przynosi tu częściową odpowiedź. Nazwy miejscowości, widniejące u dołu karty tytułowej wskazują niejednokrotnie na małe miasta, czy miasteczka jako na punkty wydawnicze. O ile z wielkich ośrodków miejskich z placówek uniwersyteckich, gdzie pracowali uczeni w pełnym tego słowa znaczeniu, wycnodziły prace o dużym zakresie, wielkie dzieła syntetyczne, nieraz opracowania zbiorowe, które szły w szeroki świat i z dobrej lub złej sławy były znane w tym świecie — o tyle na prowincji istniały nieliczone warsztaciki pół - naukowców, którzy nie marząc nawet o katedrze i birecie pisali lepsze lub gorsze prace, każdy według swego rachu, zaintere sowań, czy zdolności. W małym miasteczku, które u nas zdobyło by się co najwyżej na własnego „Kuriera", u Niemców pisał i drukował miejscowy nauczyciel i lekarz, pastor, czy burmistrz. Na tej drodze powstało szereg prac, które ilościowo dominują wśród zebranego dzisiaj materiału. Choć różnotematyczne, jako wspólny mianownik mają one ten sam widnokrąg otaczający tych wszystkich autorów. Bo wyjątkowo tylko prowincjonalny nauczyciel czy pastor, brał się do opracowania swego tematu w jakimś bardziej szerokim zakresie. Najczęściej zajmował się swym miastem, okolicą, co najwyżej powiatem. W rezultacie złożył się z tego pełny i drobiazgowy opis całego zamieszkiwanego przez Niemców kraju; opis być może w pewnych swych częściach tendencyjny, lecz bezprzykładnie bogaty i wielostronny.

Stan ten znalazł swój wyraz w słowie, które się ciągle powtarza w tytułach oma wianych wydawnictw. „Heimatpflege", „Heimatkunde", „Heimatwissenschaft" „Heimatwehr", „Heimatschutz", „Heimatkultur", Heimat, Heimat. Słowo to nie ma po polsku odpowiednika. Ani „ojczyzna", ani „kraj", ani „okolica", nie spełniają tego zadania. Jest to specyficznie niemieckie pojęcie łączące element „domu" z elementem „kraju". Wyczucie tego pojęcia Niemcy mają ogromnie rozwinięte: wydaje się, że dla wielu jest ono o wiele bardziej istotne od nawpół abstrakcyjnego „Vaterlandu". Wyraz to nabrzmiały potencjałem przywiązania ludzi do ziemi.

Nie tylko jednak ten wniosek można wy snuć z przeglądu zbiornicy. Ukazuje się z niego jeszcze inna strona psychiki niemieckiej. Skupienie uwagi na pewnych punktach, nie będących przedmiotem indywidualnych zainteresowań, lecz robiących raczej wrażenie jakiejś narzuconej psychozy. Jeden przykład, w dziedzinie historii: ilość książek z tego zakresu na ogół jest znaczna. Wśród ich tytułów jednak niezmiennym rytmem przebijają dwa wyrazy: Fryderyk Wielki i Bismarck. Bismarck i Fryderyk Wielki. Chyba pięćdziesiąt procent książek poświęconych jest tym dwóm ludziom. Młodość, życie, dzieło, polityka, myśli, wspomnienia, listy — Fryderyka i Bismarcka, Bismarcka i Fryderyka. Z liczby zachowanych egzemplarzy sądzić można, że w każdym domu niemieckim stał komplet dzieł dotyczących obu tych mężów stanu. Czy wolno jednak snuć stąd dalszy wniosek o równie powszechnych zainteresowaniach historycznych? Wydaje się to raczej wątpliwe.

Dalszy przegląd tytułów potwierdza to spostrzeżenie. Trzecie bowiem miejsce pod względem ilościowym zajmują tu monografie Wilhelma II. Następnie idą historie wojen, ze szczególnym uwzględnieniem pierwszej wojny światowej, a po tym — dzieje epoki wczesno - germańskiej. Do tych ostatnich włączone są zarówno sprawy dotyczące terenów zamieszkiwanych wowczas istot nie przez ludy germańskie, jak też i tych, do których niemczyzna przeniknęła znacznie później, lub chociażby tylko usiłowała przeniknąć. Uwidacznia się więc tu wyraźnie ciążenie zagadnień politycznych, aktualnych dla Niemców w epoce najnowszej, przytłaczające szersze, obiektywne zainteresowania kulturalne. Krócej mówiąc wydaje się, że w dziedzinie historii Niemcy ciekawili się tym przede wszystkim, co miało dla nich jakikolwiek bądź związek z współczesnymi im problemami politycznymi.

Wnioskowi temu pozornie sprzeciwia się znaczna ilość syntetycznych opracowań historii powszechnej, które również w omawianych zbiorach nie poślednie zajmują miejsce. Jest to jednak jedynie powierzchowne wrażenie. Dzieła te bowiem, składające się przeważnie z kilku lub kilkunastu tomów, pochodzą w ogromnej swej większości z wydawnictw starych, sięgających nie raz połowy zeszłego wieku. Z naukowego więc punktu widzenia nie przedstawiają znaczniejszej wartości, nie są w stanie zaspokoić czytelnika o żywych zainteresowaniach historycznych. Wydaje się więc, że są to książki służące nie do czytania, lecz do ozdoby bibliotek. Szereg jednakowych, złoconych grzbietow, z napisem „Weltgeschichte" istotnie wygląda efektownie przez oszklone drzwi szafy. Tak samo rzecz ma się ze znajdującym się w każdym domu niemieckim kompletem dzieł Goethego, czy Schillera, chociaż powszechnie znany jest fakt, niejednokrotnie stwierdzony podczas okupacji, że większość Niemców nie zna „Fausta", a przynajmniej drugiej jego części. Przy okazji, mówiąc o książkach z zakresu literatury pięknej muszę podkreślić jeszcze jeden dość symptomatyczny moment: wsród całych zwałów dzieł Goethego, Schillera, Lessinga, Raumera, Tiecka i wielu innych, tylko kilka razy natknąłem się na wiersze Heinego. W rezultacie więc odniosłem wrażenie że dobór bibliotek niemieckich przeprowadzany był według dwóch głównych, kryteriów: myśli politycznej i „obowiązku" kulturalnego.

Oczywiście jest to tylko wrażenie, powstałe po bardzo powierzchownym rzucie oka na zgromadzone zbiory. Nie przeczy też ono bynajmniej wartości wielu innych prac, szczególnie zaś wartości technicznej szeregu wydawnictw, która niejednokrotnie jest wręcz imponująca. Jest to już jednak inny aspekt, wymagający odmiennej oceny. W ten sposób możnaby namnożyć wiele zagadnień związanych z po - niemieckimi książkami. Nim, zbiornice nie zostaną całkowicie rozdzielone i zlikwidowane mogą posłużyć, jako wdzięczny teren badań dla historyka kultury, socjologa, psychologa i bibliofila. Materiał jest ciekawy, warto go opracować.

JERZY PERTEK

OD JERSEY DO LA ROCHELLE

Działalność polskich okrętów w inwazji w Północnej Francji można podzielić na dwie części, zależnie zresztą od przydziału ich do różnych grup operacyjnych. Krążownik „DRAGON" i niszczyciele „KRAKOWIAK" i „ŚLĄZAK" wchodziły w skład sił brytyjskich, operujących na wodach oblewających wschodnią część przyczółka inwazyjnego, i zadanie ich polegało głównie na zwalczaniu nieprzyjacielskich baterii nadbrzeżnych i koncentracji wojsk — w początkowym okresie inwazji, zaś później — na walce z nieprzyjacielskimi jednostkami na- i podwodnymi. „BŁYSKAWICA" i „PIORUN" współdziałały z brytyjskimi okrętami na wodach oblewających północno-zachodnie wybrzeża Francji. Ich główne zadanie polegało na zabezpieczeniu alianckiej żeglugi na Kanale przed ewentualnymi atakami niemieckich sił nawodnych, bazujących w Brest i innych, bardziej na południe położonych portach atlantyckiego wybrzeża Francji. Wypełniając to zadanie stoczyły z niemieckimi niszczycielami zwycięską bitwę pod Ushant, którą na łamach „Tygodnika Wybrzeża" niedawno omawialiśmy. Ponieważ w bitwie tej niemieckie siły nawodne poniosły dotkl[1]wą klęskę i nie poważyły się już więcej na urządzenie podobnego wypadu, okręty alianckie poczęły same szukać nieprzyjaciela na opanowanych przez niego wodach. Odtąd alianckie niszczyciele, a także i czasami krążowniki, bez przerwy atakowały niemieckie konwoje kursujące pomiędzy poszczególnymi portami, które aż do wiosny 1945 roku znajdowały się w rękach niemieckich. Największe nasilenie tych walk zanotować można w pierwszych trzech miesiącach inwazji, po których Niemcy niemal zupełnie przestali pokazywać się na morzu, gdyż większość ich okrętów i statków legła na dnie, zatopiona przez alianckie okręty i lotnictwo.

Podczas tych walk, toczonych na wodach francuskich wyróżnił się specjalnie ORP „PIORUN". Z pośród szeregu akcji, w których okręt ten brał w tym czasie udział, dwie zwłaszcza zasługują na specjalną uwagę. Pierwsza z nich — to pogrom zespołu dużych i nowoczesnych trałowców niemieckich koło wyspy Jersey, druga — zakończyła się zniszczeniem dużego krążownika pomocniczego na zachód od Ile de Ré.

Bitwa pod Jersey stoczona została w nocy na 14 czerwca. „PIORUN" znajdował się w towarzystwie niszczyciela „ASHANTI", z którym wspólnie brał też uprzednio udział w bitwie pod Ushant. Oba niszczyciele natknęły się niedaleko wyspy Jersey na zespół niemieckich trałowców, oczyszczający wody na zachód od Jersey z min. Trałowców było 7, wszystkie stosunkowo — jak na trałowce — duże jednostki, nowoczesnej konstrukcji. Ich wyporność wynosiła 600 ton, uzbrojenie główne składało się z 2 dział 105 mm, szybkość wynosiła 17 do 18 węzłów. W sumie niemiecki zespół dysponował niemal tą samą siłą ognia — 14 dział 105 mm wobec alianckich 14 dział 120 mm („Ashanti" 8 dział i „Piorun" 6 dział). Wprawdzie niszczyciele miały atut dwukrotnie większej szybkości, okręty niemieckie przeważały zato liczebnie i mogły lepiej koncentrować ogień na przeciwniku. W dodatku — wsparte zostały ogniem niemieckich baterii nadbrzeżnych z Jersey. Mimo tego jednak bitwa zakończyła się zupełnym pogromem niemieckiego zespołu.

Początkowo nic nie wróżyło tragicznego końca siedmiu niemieckich jednostek i obie strony uzyskały trafienia. Później, gdy jeden z trałowców — celnie trafiony pociskami — stanął w płomieniach, a drugi — storpedowany — począł tonąć, trałowce wycofały się pod osłonę baterii nadbrzeżnych. Silny ogień artylerii niemieckiej z wyspy wspomógł trałowce, trafiając jednym z pocisków polski okręt i wywołując na nim pożar, zapalając amunicję. „Piorun" nie przerwał jednak ani na chwilę ognia i walnie przyczynił się do całkowitego niemal zniszczenia niemieckiego zespołu.

OPIS UCZESTNIKA BITWY

Jeden z uczestników tej bitwy tak ją opisuje:

„Jest 36 minut po północy. Radiowykrywacz podaje dokładny namiar i odległość. Niecałe 4.000 metrów. Upływa minuta. Minuta długa jak wieczność.

Wszystkie nasze działa i wszystkie działa „Ashanti" prażą straszliwym ogniem nieprzyjaciela. Są to dobrze uzbrojone trawlery. Jest ich już siedem. Siedem przeciwko nam dwom. Ogień ich staje się coraz potężniejszy i celniejszy. Lecz jeden z nich staje w płomieniach... Plusk naszej torpedy i oto jeden z trawlerów dramatycznie podskakuje dziobem do góry i poczyna tonąć. Niemieckie pociski walą w nasz kadłub. Już są ranni. A oto jeden pocisk przebija pokład i wpada w nasz park amunicyjny przy dziale numer IV.

Pożar. Lada chwila może nastąpić wybuch. Lecz działo strzela. Nikt ani na sekundę nie przerwał swych czynności i nie zszedł ze swego miejsca.

Nasilenie walki wzrasta. Odległości się skracają. Niebo rozjaśnione pociskami i pożarami. Okręt nasz drży od kilu po top masztu. Szybkość szalona. Wstrząsy salw własnej artylerii, czy nieprzyjacielskie pociski walące na nasz kadłub...?

W wirze walki z przeważającym ilościowo nieprzyjacielem dostajemy się w dodatku pod ogień artylerii nadbrzeżnej. Lecz nieprzyjaciel słabnie. Bitwa trwa już godzinę. Już drugi okręt tonie. W szyku nieprzyjacielskim zamieszanie. Rozpoczynamy pościg za uchodzącymi. Mamy sami uszkodzenia, niektóre są dość poważne. Ale to nic. Szybkość mamy ogromną, artyleria działa bez zarzutu, duch nadzwyczajny. Marynarze lżej ranni nie chcą opuścić stanowisk. Ogień artylerii brzegowej wzmaga się. Jesteśmy mocno oświetleni jej pociskami. Zwiększamy szybkość jeszcze bardziej. Trzy nieprzyjacielskie okręty już zatopione, czwarty tonie. Jeden zrezygnował z „chwały bojowej" i umknął. Dwa płoną i chronią się pod osłonę brzegowej artylerii. Nie mamy już wiele do roboty. Sam czas powracać. Na ogromnej szybkości opuszczamy pobojowisko, na którym zespół niemieckich trawlerów zakończył swój byt...

Nad ranem jesteśmy na „własnych wodach". Omijamy własne pola minowe, prześlizgujemy się skalistym przejściem, wchodzimy do portu".

Z siedmiu niemieckich trałowców — a nie trawlerów, jak mylnie podaje uczestnik bitwy*) — trzy napewno zatonęły, czwarty prawdopodobnie też, ale jego zatonięcia nie zdążono zaobserwować. Za zniszczone można także uważać dwie dalsze jednostki, które w chwili odwrotu alianckich jednostek tonęły płonąc. Jeden tylko trałowiec powrócił do swego portu, choć i ten nie bez uszkodzeń. Z zatopionych jednostek tylko jedna została do tej pory zidentyfikowana, jako „M-38", przy czym za sprawcę jej zniszczenia podaje się zgodnie oba alianckie niszczyciele, „PIORUN" i „ASHANTI".

Szereg innych spotkań stoczono w następnych tygodniach na wodach francuskich. Między innymi — 15 lipca „BŁYSKAWICA", płynąc wraz z niszczycielem brytyjskim „TARTAR" i kanadyjskim „HAIDA", zaatakowała pod Ile de Croix, niedaleko Lorient, niemieckich konwój. W toku walki artyleryjskiej dwa nieprzyjacielskie statki i jeden okręt eskortujący zostały zatopione.

DRUGI SUKCES

Drugi duży sukces „PIORUNA" uzyskany został 12 sierpnia. W dniu tym jeden z patrolujących Zatokę Biskajską samolotów brytyjskich zameldował obecność dużego niemieckiego statku na południowy zachód od La Rochelle. Statek ten był silnie uzbrojony i mógł być krążownikiem pomocniczym, lub — może raczej — łamaczem blokady. Znajdujący się również na patrolu — w niezbyt dużej odległości — zespół aliancki szybkim marszem podążył przeciąć kurs nieprzyjaciela. W skład tego zespołu, którego okrętem flagowym był krążownik brytyjski „DIADEM", wchodził także „PIORUN".

Po doścignięciu niemieckiego okrętu (ze względu na jego silne uzbrojenie nazywać go należy okrętem, a nie statkiem), krążownik „Diadem" otworzył ogień i po krótkotrwałym — mimo silnego oporu nieprzyjaciela — pojedynku artyleryjskim poważnie go uszkodził. Ponieważ okręt niemiecki znajdował się już w pobliżu wybrzeża i każdej chwili mógł otrzymać pomoc niemieckich baterii względnie lotnictwa, czy nawet lekkich jednostek nawodnych, „PIORUN" przeszedł do ataku torpedowego i celną torpedą zatopił go. Jak się okazało później był to 8.000-tonowy krążownik pomocniczy i łamacz blokady „Sauerland".

Na tym sukcesie zakończyły się „gościnne występy" niszczyciela „PIORUN" na wodach atlantyckiego wybrzeża Francji. Trzy dni po zatopieniu „Sauerland" rozpoczęła się inwazja w Południowej Francji i w krótkim czasie Francja została oswobodzona. Jedynie w kilku zachodnich portach Francji utrzymali się jeszcze Niemcy, jednakże wszelkiej działalności morskiej ostatecznie zaprzestali.

JERZY PERTEK

*) Trawler jest to statek rybacki, który w toku wojny mógł zostać użyty do poławiania min. Biorące udział w bitwie pod Jersey jednostki niemieckie były regularnymi, wybudowanymi do tego celu — poławiaczami min, czyli — podług obowiązującej terminologii — trałowcami.

ZAGRANICZNA KRONIKA MORSKA

Stany Zjednoczone — Morska Komisja St. Zjedn. powzięła decyzję budowy dużego statku pasażerskiego dla U. S. Lines, przeznaczonego do obsługiwania linii do Europy półn.-zachodn. Statek ten, którego pojemność oblicza się między 45.000 a 50.000 ton posiadać będzie długość 301,8 m. i zabierać będzie 2.000 pasażerów kabinowych. Koszt tego nowego superliniowca ma **wynieść 65 milionów dol. Ma to być jednostka** luksusowa i ultra nowoczesna. Niemieckie pismo morskie „Hansa" z dn. 21. VIII 48. przypuszcza jednak, że statek ten będzie posiadał charakter militarny i że będzie mógł zaokrętować naraz 12.000 wojska. Zresztą dalsze bliższe szczegóły nie są jeszcze opublikowane.

*

Szwedzkie statki szkolne marynarki handlowej — W r. 1947 rozpoczęły służbę w szwedzkiej marynarce handlowej 2 nowe żaglowce: „Gladan" i „Falken". Wymiary tych jednostek są następujące: długość 28,3 m, szerokość 7,2 m, zanurzenie 4,2 m. Są to małe jednostki po **218 ton pojemności. Natomiast piękną jednostką** szkolną jest „Albatross" należący do armatora A/B Brostrom Stockholm. Statek ten, który ma 1.052 BRT jest wyposażony w odpowiednie najnowsze urządzenia techniczne, m. in. w radar.

*

Francuski tonaż liniowy „Compagnie Generale Transatlantique". — W czasie ostatniej wojny największy armator francuski „Compagnie Generale Transatlantique" utracił 2/3 swej floty. Spośród ocalałych największych jednostek „Ile de France" o 43.450 BRT kończy w tym roku swą rekonwersję z powrotem w statek pasażerski (poprzednio pracował jako transportowiec wojenny). Uzyskana w ramach odszkodowań wojennych po-niemiecka „Europa" przemianowana została na „Liberte" — pojemność jej jest jeszcze większa, bo wynosi 49.764 BRT. Nie zastąpi jednak ona i nie zrównoważy utraconej w czasie wojny „Normandie" o 83.400 BRT i 31 węzłach szybkości. „Ile de France" w r. 1949 wznowi obsługę połączeń z Cherbour-ge'a do Nowego Jorku. Również ma wznowić połączenie do Indi Zachodnich statek „Colombie" o 13.390 BRT., tymczasem pracuje na tej linii panamski parowiec „Katoomba" o 9.424 BRT. Francuzi szybko odbudowują swój tonaż, na stoczniach krajowych znajdują się w budowie 2 parowce po 20.120 BRT. „Flandre" i „Antilles". — Dalsze jednostki budowane na rachunek „C. G. T." są to motorowce: „Washington", „Winnipeg" i „Wyoming" po 10.250 BRT. i 17 węzłów oraz „Panama" 11.000 DWT. Poza tym są budowane w Bordeaux 2 motorowce po 8.000 ton i 2 duże statki w Kopenhadze. Ostatnio został spuszczony na wodę motorowiec pasażersko - towarowy „Cavalier de la Salle" 9.000 DWT i 16 węzłów szybkości. Zagraniczne stocznie budują nadto dla tego armatora 6 statków, a mianowicie: w Belgii 2 po 7.500 TDW i 2 w Holandii; pozostałe 2 statki budowane są w Anglii. Są to szybkie jednostki przeznaczone do przewozu bananów, pojemność ich obliczona jest po 3.500 TDW.

*

Kanał Suezki. — Interesujące jest zapoznanie się z ruchem okrętowym w kanale Suezkim, który na przestrzeni ostatnich 35 lat wykazuje następujące fluktuacje:

Rok	tonaż statk. netto	ilość statk.
1913	20.033.884	5.085
1914	19.409.495	4.802
1817	8.368.918	2.353
1918	9.251.601	2.522
1929	33.466.014	6.274
1937	36.491.332	6.635
1938	34.418.187	6.171
1939	29.573.394	5.277
1940	13.535.712	2.589
1941	8.262.841	1.804
1942	7.027.763	1.646
1943	11.273.802	2.262
1944	18.124.952	3.320
1945	25.064.966	4.206
1946	32.731.631	5.057
1947	36.576.581	5.972

Porównując liczbę statków, które przeszły przez kanał w r. 1913 i 1946 — widzimy jak bardzo jest zbliżona, a jednak tonaż statków, które przeszły przez kanał w r. 1946 był większy o 12.700.000 ton niż w r. 1913. Tak więc, gdy na 1 statek przypadało przeciętnie w 1913 r. 3.940 NRT, to wr. 1946 odpowiednio 6.472,5 NRT. Za tym wzrost tonażu statku przeciętnego wynosił w tym okresie ponad 64%.

*

Port w Hamburgu. — Działania wojenne spowodowały zniszczenia w porcie bardzo pokaźne: nabrzeża w 87%, powierzchnia magazynów 60% oraz urządzenia przeładunkowe w 72% uległy zniszczeniu bądź uszkodzeniom, nie nadając się do eksploatacji. Od r. 1946 lokalne władze niemieckie i angielskie okupacyjne realizują 4-letni program odbudowy tego portu, przewidując jego całkowitą odbudowę na r. 1950. W przybliżeniu już ponad połowa prac została dokonana. Np. zbiorniki na paliwo płynne osiągnęły już 60% swej pojemności w stosunku do normy przedwojennej. Dziś mogą one zatankować 380.000 mtr. sześć. Obecna zdolność przeładunkowa portu w Hamburgu osiągnęła już 12.000.000 ładunków, w tym 3.000.000 dla drobnicy i 9.000.000 ton dla towarów masowych. Jak podają źródła belgijskie, Hamburg w r. 1947 przeładował zaledwie 5.783 tys. ton, czyli 23% w stosunku do r. 1938.

Przeładunek Hamburga :

w r. 1938 wynosił 25.783 tys. ton — 100%
w r. 1946 wynosił 3.800 tys. ton — 15%
w r. 1947 wynosił 5.783 tys. ton — 23%

Zmalał o 60% tranzyt, który przed wojną był w Hamburgu większy niż w Antwerpii. Główną pozycję stanowił w nim tranzyt czeski, który w r. 1947 osiągnął **ponad pół miliona ton (ściśle 513 tys. ton),** co stanowi już przeszło 80% tranzytu czeskiego przez Hamburg z r. 1937.

ERRATA

W numerze 42-43 „Tygodnika Wybrzeża" mylnie wydrukowano nazwisko autora dramatu „Cztery Strony Świata", mianowicie zamiast Lakola winno być Lahola.

W numerze 39 w artykule J. Mitkowskie go o najnowszych polskich pracach historycznych poświęconych Ziemiom Odzyskanym, popełniono szereg błędów korektorskich, a mianowicie:

1. szpalta, wiersz 19 od dołu
   zamiast: w naszej kulturze wszechpolskiej...
   ma być: w naszej kulturze **wczesnopolskiej....**
2. szpalta, w ustępie poświęconym dziejom Ziemi Lubuskiej trzeba **dodać** słowa: **Należy liczyć się z wydaniem ich....**
3. szpalta, w pozycji (41):
   zamiast: Witkowski J., Pomorze Zachodnie...
   ma być: **Mitkowski J.,** Pomorze Zachodnie...
4. szpalta, w pozycji (46):
   zamiast: Peradzka K., Kaźko szczeciński...
   ma być: **Pieradzka** K., Kaźko szczeciński...

„NIEWINNI WINOWAJCY"

A. N. OSTROWSKIEGO NA SCENIE TEATRU POLSKIEGO

Właściwie o stałym repertuarze rosyjskim przed Ostrowskim nie można mówić. Nie stworzyli go ani Szachowskoj, ani Kukolnik, Koni czy Zagoskin. Tych kilkadziesiąt (nie licząc przeróbek utworów obcych i pisanych do spółki z innymi) sztuk Ostrowskiego otwiera epokę teatru rosyjskiego. Epokę literacką, bo sceniczną stworzyła powszechna w połowie XIX w. teatromania, okres „gwiazd aktorskich, z których na firmamentach teatrów moskiewskich świeciły nazwiska Szczepkina, Moczałowa, Lwowej-Sinieckiej i innych. Z bogatej twórczości Ostrowskiego polski widz zna ledwie cztery utwory: „Grozę", „Intratną posadę", „Wilki i owce" — czwartą szuką, po raz pierwszy wystawioną w Teatrze Polskim w Szczecinie, są właśnie „Niewinni winowajcy" (przekład Cz. Jastrzębiec - Kozłowskiego). Ostrowski to skomplikowane i ciekawe zjawisko literackie: świetny plastyk i portrecista swego czasu, bystry obserwator środowiska kupiecko-mieszczańsko-urzędniczego, tego środowiska swego czasu oskarżyciel i sędzia. Wyraźna tendencja oskarżycielska w jego sztukach bynajmniej nie jest przykrowa, choć jeszcze wątła, ale już — chciałoby się rzec — wróżąca wyraźnie odczuwaną konieczność przemian społecznych. Myśli — „czas wyrwać zło z korzeniami" — zaczynają się krystalizować z hasłami — „Bij, Grzesiu, bij, ja ci pomogę!"

Ostrowski to pierwszy w historii rosyjskiej literatury dramatycznej „człowiek teatru". Teatr znał, jak nikt przed nim. Stąd też kilka jego utworów poświęconych życiu aktorów. Znał to życie dobrze, choć dopiero u schyłku życia doczekał się stanowiska dyrektora rządowego teatru moskiewskiego. Całą nędzę teatralnego proletariatu pokazał w „Talentach i wielbicielach", postaci aktorów dały mu niejeden świetny epizod do wielu sztuk, na pół w teatrze toczy się akcja „Niewinnych winowajców". Przy tej całej teatralności Ostrowskiego niemile razi nas dzisiaj jego technika kompozycji utworu. Jest ona jakoś rozlewna, gubiąca się w tyradach, epizodycznych scenach, potraktowanych z nagle obudzonym zacięciem portrecisty, w przydługich ekspozycjach (jak np. prolog w „Niewinnych winowajcach"), to znów powracająca niepotrzebnymi, jakby nieporadnymi powtórzeniami (akt II. — Kruczynina, Dudukin). A przy tym świetny jego język sam prowokuje dialogi, wyraziste, doskonale charakteryzujące, stanowiące świetny materiał popisowy dla aktora. Bo Ostrowski pamięta zawsze o dwu rzeczach: o tym, że żyje w epoce wszechwładzy scenicznej aktora, i o tym, że w życiu dobro splata się ze złem, że prawdą są drzemiące w rosyjskim człowieku siły i uczucia, że wiara w nie, wiara w mądrość życiową, w sprawiedliwość społeczną w każdej sytuacji życiowej pozwala dostrzec optymistyczny zadatek przyszłości.

Mało wiemy o Ostrowskim i szkoda może, że przemówienie kierownika literackiego, p. Borzyma poświęcone było bardziej 50-cioleciu MCHAT-u niż 125-cioleciu urodzin wielkiego dramaturga. Na słowa uznania zasługuje wkład pracy, włożonej w spektakl przez zespół Teatru Polskiego. Środkami nad wyraz szczupłymi osiągnięto niemałe rezultaty. Oczywiście, tak bardzo „pod aktora" pisana szuka stawiała przed szczecińskim zespołem aktorskim wielkie wymagania, którym nie wszyscy wykonawcy potrafili sprostać. Z tym większym więc uznaniem podkreślić należy pracę reżysera, któremu mimo tej wielkiej rozpiętości aktorskich możliwości udało się stworzyć przedstawienie na wysokim poziomie. Tę pracę p. Lotara publiczność oceniła, wywołując go na scenę.

Wobec wielkich trudności stanął również dekorator, p. Rajkowski. O pełnym, realistycznym, stylowym wystawieniu Ostrowskiego nie mogło być mowy. Dekorator posłużył się więc — i słusznie — kotarami, uproszczeniem wnętrz do najpotrzebniejszych rekwizytów. Fakt, że dekoracje aktu III powitała publiczność brawami, mówi wiele o ich twórcy. Kostiumom można by to i owo zarzucić, ale za to nastrój sztuki utrzymywała szczęśliwa ilustracja muzyczna (Dudarenko i L. Matusik) oparta na motywie romansu cygańskiego.

Pietyzm dla szacownego antyku nie powinien powstrzymywać inscenizatorów przed dokonaniem potrzebnych skreśleń, które ożywiłyby patyną czasu trzygodzinną komedię-melodramat.

Akcja „Niewinnych winowajców" mogłaby wprawdzie toczyć się „poza czasem i przestrzenią" — jak tego dowodzi tekst programu teatralnego — ale nie z takimi ludźmi, jakich nakreślił Ostrowski. Dlatego od aktora wymagaliśmy jeszcze wczucia się w swoistą psychikę odtwarzanej postaci. Jakże z tych zadań wywiązali się wykonawcy?

Bez zarzutu wspaniałą aktorsko postać Otriadiny-Kruczyninej stworzyła p. Malicka. Jest to chyba najlepsza kreacja, jaką dotąd widzieliśmy w Szczecinie. Wszyskie elementy artyzmu — intuicja nieomylnego gestu, świetna dykcja, doskonałe przyjmowanie pozy, szczerość modulacji głosu w momentach dramatycznych i lirycznych, swoboda poruszania się w kostiumie — można było studiować w tej roli do zachwytu.

Epizodyczną postać Gałczychy wspaniale wykonała p. Feldmanówna. Okazuje się, że w artystce tej posiada Teatr Polski nieprzeciętną, a szkoda, że dotąd niewykorzystaną „charakterystyczną". I tu mogliśmy podziwiać dobrze wystudiowany gest i dobrze postawiony, sugestywny głos. Trzecią postać, jedną z tych tak przez Ostrowskiego ulubionych, Szmagę, zagrał bardzo dobrze Bryliński. A postać to ważna, bo kryje ona niejedną myśl autora. Szmaga — filozof życiowy to człowiek z etapu przejściowego rewolucji społecznej, kiedy to od pogardy do nienawiści jest już tylko krok jeden. Na bardzo ważną dla sztuki rolę Nieznamowa nie miał, niestety, Teatr Polski odpowiedniego wykonawcy. Ogromne zadanie spadło na barki p. Sokalskiego. A Nieznamow to typowy „poszukiwacz prawdy", to postać, którą Ostrowski chce dowieść wiary w człowieka. P. Sokalski tylko chwilami wznosił się do wyżyn, jakich od wykonawcy wymaga ta rola (akt I i finał III-go). Dobre warunki zewnętrzne tego aktora i inteligentna interpretacja tekstu wymagają odeń wyzbycia się wady śpiesznego i śpiewnego mówienia.

Dobrze ze swych obowiązków wywiązali się pp. Karniewska (Anusia), Zakrzyńska (Korynkina), doskonały w swym epizodzie Rasiński (Iwan), Daszewski (Murow) i Czabanowski (Dudukin. Najsłabiej wypadły role Szeławiny (Ogińska) i Miłowzorowa (Rózgiewicz).

„Niewinni winowajcy" stanowią piękny wkład Teatru Polskiego w dzieło zbliżenia kulturalnego polsko-radzieckiego, oraz rzetelny sukces repertuarowy i sceniczny.

W. LACHNITT.

NOTATNIK WYBRZEŻA

Robotnicze Towarzystwo Muzyczne zakończyło już swój pierwszy okres organizacyjny, inaugurując zimowy sezon koncertów symfonicznych dnia 25 października. Zespół Robotniczego Towarzystwa Muzycznego pod batutą ruchliwego organizatora i zdolnego dyrygenta Felicjana Lasoty, wykonał szereg utworów kompozytorów radzieckich i polskich. Dodać należy, że w roku przyszłym, po całkowitym uruchomieniu przyznanych Towarzystwu subwencji, będziemy mieli możność częściej słyszeć i obserwować szczeciński zespół symfoniczny. Część członków tego zespołu stanowi stałą orkiestrę rozgłośni Polskiego Radia, która — pod batutą dyr. Górzyńskiego brała kilkakrotnie udział w koncertach masowych, urządzanych w ramach miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko - radzieckiej oraz w uroczystej akademii w dniu święta państwowego Czechosłowacji.

W Szczecinie mamy do obejrzenia dwie wystawy: jedną, stałą wystawę prac plastyków — w Klubie 13-tu Muz, drugą zaś, zorganizowaną we własnym lokalu przez Instytut Francuski. Wystawa ta poświęcona jest marynarce francuskiej i Unii Francuskiej.

W ramach wymiany kulturalnej bawił w Szczecinie **zespół baletowy Selesniowa.** Skromny ten, bo zaledwie 5-cioosobowy zespół nie mógł w pełni reprezentować wielkich osiągnięć radzieckiego baletu.

Działalność swą wznowił ulubiony **teatrzyk kukiełkowy „Czarodziej", rozpoczyna**jąc trzecią setkę przedstawień bajką Kraszewskiego T. „Stach i strach".

Szczecińska Scena Oświatowa przygotowuje się do otwarcia sezonu kończąc próby sztuki Szaniawskiego „Most".

Gościnnie bawił w Szczecinie Warszawski Teatr Rozrywkowy z Domańskim, Skwierczyńską, Trzosalską, Ankwicz, Waldemarem i Millerem. Na urozmaicony program złożyły się taniec, humor, piosenka i satyra pod wspólnym tytułem „Ślicznie i demokratycznie".

W ramach czytelnikowskiej akcji „Autorzy wśród swych czytelników" po Dąbrowskiej i Andrzejewskim — miasta Pomorza Zachodniego odwiedza Janusz Meissner. Wygłosił on w Goleniowie, Kamieniu, Świnoujściu i Szczecinie odczyt o lotnictwie i literaturze.

O odczycie tym napiszemy osobno.

Jks.

* * *

Ustępujący zarząd Oddziału Krakowskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich podał w swoim sprawozdaniu, iż zorganizował w ciągu roku 11 wieczorów klubowych, 11 zebrań studio literackiego, 6 wieczorów autorskich i 4 publiczne dyskusje nad książkami i sztukami teatralnymi. Podkreślając to z uznaniem, prasa warszawska stwierdza, że niestety Oddział Warszawski ZZLP nie może się pochwalić podobnymi wynikami.

Gdy już wyciąga się na światło dzienne te sprawy, warto chyba podać do wiadomości dane, jakimi może się poszczycić skromny Oddz. Gdański ZZLP. Otóż Oddział ten zorganizował w roku sprawozdawczym 41 publicznych wieczorów krytyczno literackich, tzw. „Wieczorów Dobrej Książki" z czego 22 [illegible] wieczory Klubu Literackiego w Sopocie, a 9 na wtorkowe wieczory Bractwa Literackiego w Gdańsku — Wrzeszczu (oba kluby są podporządkowane Oddziałowi). Jeśli uwzględnimy, że w tym czasie Wydział Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika" w Gdyni współpracujący ściśle z Gdańskim Oddziałem ZZLP, urządził w Gdyni, 23 wieczory czwartkowe, na których były powtarzane odczyty sopockie — otrzymamy pokaźną liczbę sześćdziesięciu czterech „Wieczorów Dobrej Książki" na terenie Gdyni Sopotu i Gdańska!

Ale na tym nie koniec. Klub Liter. w Sopocie zorganizował w roku sprawozdawczym — przeważnie wespół z Wojewódzkim Wydziałem Kultury i Sztuki — 18 wieczorów literacko - artystycznych na prowincji woj. gdańskiego, a mianowicie: w Lęborku, Tczewie, Pelplinie, Kościerzynie, Stargardzie, Skarszewach, Kartuzach, Gościnie, Maszewach, Słupsku i Bytowie (dwa ostatnie miasta należą do woj. szczecińskiego).

Dodajemy wreszcie, że w sezonie letnim 1948 Oddział Gdański ZZLP, zorganizował w Domu Literatów w Sopocie 2 wewnętrzne i 8 publicznych wieczorów autorskich wybitnych poetów i pisarzy przybyłych nad morze z całej Polski. I że niemal przez cały rok odbywały się co tygodniowe zebrania wewnętrzne Klubu Literackiego w Sopocie pod kierownictwem Eugenii Kochanowskiej Wiśniewskiej. To wszystko zrobił Oddział liczący 10 członków rzeczywistych ZZLP i dwudziestu paru członków kandydatów. Czy nie powinny tego wziąć pod uwagę te oddziały Zw. Literatów, które liczą blisko 100 czy nawet ponad 100 członków i to w większości członków rzeczywistych?

Donosiliśmy już, że popularne „Wieczory Dobrej Książki" zostały wznowione z początkiem października jednocześnie w Sopocie, Gdyni i Gdańsku, gdzie odbywają się regularnie co tydzień. W Sopocie organizuje je, jak dawniej, Klub Literacki w sali Domu Literatów, we Wrzeszczu Bractwo Literackie w dużej sali Teatru Miejskiego, wreszcie w Gdyni Wydział Kult. - Oświaty „Czytelnika" w lokalu PPS przy ul. 10 Lutego.

Miłą niespodziankę sprawiła w tym roku Gdynia, gdzie dotychczas najtrudniej było zebrać słuchaczy: na każdym z trzech pierwszych październikowych wieczorów gdyńskich było obecnych ponad 200 osób. Bardzo szczęśliwie rozpoczęto również akcję odczytową na prowincji woj. gdańskiego, gdzie stroną organizacyjną i muzyczną wieczorów zajmują się powiatowe referaty kultury i sztuki — prelegentów natomiast dostarcza Klub Literacki z Sopotu. W dniu 1.10 odbył się taki wieczór w Tczewie, w auli tamtejszego gimnazjum — w części literackiej Włodzimierz Wnuk mówił o „Bolesławie Chrobrym" Gołubiewa, w części muzycznej występował prof. Sochacki (skrzypce) i prof. Natkowska (fortepian). Obecnych ok. 600 osób, w większości młodzież szkolna. Drugi z kolei wieczór odbył się 14.10 w Stargardzie, gdzie (również w sali gimnazjum) ten sam prelegent mówił o głośnej powieści Cronina „Klucze królestwa". Niestety część muzyczna nie była dostosowana do charakteru wieczoru. Obecnych ok. 400 osób. Doskonała frekwencja jest w pierwszej linii zasługą powiatowych referatów kultury i sztuki — w Tczewie M. Symfierówny w Stargardzie E. Karaska. Okazuje się, że powodzenie akcji odczytowej na prowincji zależy w dużej mierze od powiatowych referatów kultury i sztuki — gdzie one są na wysokości zadania tam [illegible] literacko - artystyczne [illegible] (ex)

KSIĄŻKI

WYDAWNICTWA SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEDZA"

Adolf Dygasiński: „Gody życia". Wydanie piąte. Wstęp i objaśnienia Franciszka Bielaka. Warszawa, 1948. Str. XIX + 150. Opowieść o dzielnym mysikróliku, małym bohaterze puszczy. Wybitny pisarz z doby pozytywizmu daje w tej książce przepiękny obraz życia, „którego ani śmierć, ani niedola, ani żadne zło nigdy nie dosięgną".

Axel Munthe: „Księga o ludziach i zwierzętach". Warszawa, 1948. Str. 180. Zbiór szkiców o nieokreślonej, bezpretensjonalnej formie literackiej, będących jednak dziełem artystycznym wysokiej próby. Znany autor „Księgi z San Michele" opowiada tu o swoich prostych przyjaciółach wśród ludzi i zwierząt, utrzymując swoje szkice w tonie głębokiej, chociaż owianej melancholią dobroci i życzliwości.

John Steinbeck: „Myszy i ludzie". Przełożył Jan Meysztowicz. Warszawa, 1948. Str. 113. Powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich o wzruszającej, a tragicznie zakończonej przyjaźni dwóch włóczęgów, z których jeden jest spryciarzem, drugi naiwnym poczciwcem — a mimowolnym mordercą. Operując nie zmiernie prostymi środkami artystycznymi autor osiąga w tej powieści efekty pełne wstrząsającego tragizmu.

Bruno Frank: „Cervantes". Przekład Wandy Kragen. Warszawa, 1948. Str. 276. Pełne przygód życia autora „Don Kichota", żołnierza, niewolnika, po tym królewskiego urzędnika, zbierającego podatki, wreszcie więźnia, który dopiero w ciszy więziennej celi odnalazł spokój i warunki, by stworzyć nieśmiertelne dzieło — oto bogata kanwa, na której Bruno Frank snuje swój ciekawy „romans" o Cervantesie.

Lao — Sze: „Nezrównany Pan Czao — Tsyjue". Przekład z oryginału chińskiego oraz wstęp i przypisy Witolda Jabłońskiego. Warszawa. 1948. Str. 250. Jest to bodaj pierwszy przekład ze współczesnej beletrystyki chińskiej. Ukryty pod pseudonimem autor opisuje tu burzliwe życie studenta-hulaki i dzieje jego subtelnie sentymentalnych przyjaźni. Przez sam fakt zbliżenia czytelnika do zawiłych zagadnień życia współczesnego w Chinach książka ta zasłu guje na uwagę.

WYDAWNICTWA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

Kazimierz Myśliński: „Bogusław I, Książe Pomorza Zachodniego". Bydgoszcz — Gdańsk — Szczecin, 1948. Str. 58. Znany historyk i polemista obala w tej ciekawej pracy wiele nieścisłych sądów i historycznych fałszów o jednym z najwybitniejszych władców Pomorza Zachodniego w pierwotnych dziejach tego kraju. Specjalnie interesujące są partie poświęcone stosunkom Pomorza ze Skandynawią, zwłaszcza o wpływach duńskich.

Marian Krynicki: „Morskie statki handlowe". 82 ilustracje. Str. 12 + 198 i spis statków pełnomorskich polskiej floty handlowej. Gdańsk — Bydgoszcz — Szczecin, 1948. Dawno oczekiwana książka, zawierająca mnóstwo podstawowych wiadomości z zakresu żeglugi, budowy okrętów, portów, polskich tradycji morskich i możliwości na przyszłość. Książka, która powinna się znaleźć w każdej bibliotece, wypełniając poważną lukę w naszym piśmiennictwie, niewątpliwie jedna z najcenniejszych pozycji w naszej literaturze marynistycznej.

(j.)

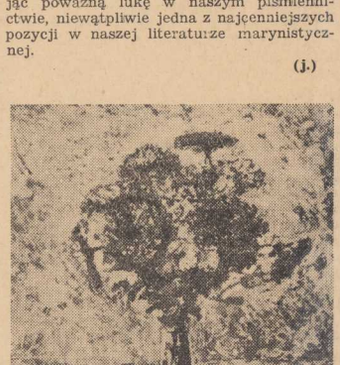

Rysunek J. Karolaka: Kwiaty

WŚRÓD KSIĄŻEK

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w zakresie tłumaczeń najwybitniejszych klasyków literatur obcych mieliśmy i nadal mamy poważne i zasadnicze braki. Wprawdzie w ciągu dwudziestu lat międzywojennych przekłady znacznie górowały ilością pozycji nad utworami oryginalnymi, jednak ta dziedzina wydawnicza nieomal całkowicie podporządkowana była doryweczym koniunkturom handlowym i modom sezonu. Dość sobie przypomnieć, że z literatury rosyjskiej w ciągu całego okresu dwudziestolecia jedynie zbiorowe wydanie dzieł Destojewskiego i przekład „Martwych dusz" Gogola mogą być uznane za pozycje cenne. Natomiast już wydanie pism Tołstoja, zresztą niepełne, stało na bardzo niskim poziomie, nie zdobyliśmy się poza tym na przekłady dzieł Turgieniewa, Gogola, Czechowa, Szczedrina. Wielcy prozaicy angielscy wieku XVIII-go i epoki wiktoriańskiej nadal pozostali u nas całkowicie nieznani. Nawet znajomość Dickensa ograniczała się u nas do znajomości „Klubu Pickwicka", „Dawida Copperfielda", „Nocy wigilijnej", czy „Oliwera Twista", wszystkie natomiast utwory tego wielkiego pisarza z późniejszego okresu jego twórczości pozostały u nas nieprzetłumaczone. A co byśmy mieli z literatury francuskiej, gdyby nie trud jednego człowieka, Boya-Żeleńskiego?

Ten zły spadek dwudziestolecia ciąży fatalnie i nad obecną sytuacją wydawniczą w dziedzinie przekładów. Przeglądając katalogi największych naszych spółdzielni wydawniczych łatwo spostrzec, że nieomal wszystkie wydane do tej pory pozycje z zakresu klasyków obcych literatur należą do wznowień utworów już dawniej przetłumaczonych. Ogromna praca Boya-Żeleńskiego jeszcze raz okazała się trwałym dorobkiem naszej kultury literackiej. Wiele tomów słynnej Biblioteki Boya doczekało się już wznowień. A więc Balzaca: „Dwaj poeci", „Stracone złudzenia", „Cierpienia wynalazcy", „Blaski i nędze życia kurtyzany", „Ostatnie wcielenie Vautrina", „Ojciec Goriot", „Eugenia Grandet" (Spół. Wyd. „Wiedza"), dalej „Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau", oraz „Kuzynka Bietka" (Spół. Wyd. „Książka"). Ze Stendhala wznowiono dwie najcenniejsze pozycje: „Czerwone i czarne" i „Pustelnię Parmeńską" („Książka"). Z klasyków francuskich XIX-go wieku mamy jeszcze obecnie na rynku wydawniczym „Adolfa" Benjamina Constant, „Sceny z życia cyganerii" Henryka Murgera, Wiktora Hugo „Rok 1793", który stanowi pierwszy tom zapowiedzianych pism zbiorowych autora „Nędzników", Emila Zoli „Germinal" (Spółdz. Wyd. „Wiedza"), oraz kilka tomów z wydawanych przed wojną dzieł zbiorowych Anatola France'a — „Wspomnienia mego przyjaciela". „Wyspa pingwinów", „Zbrodnia Sylwestra Bonnard" („Książka"), „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką" („Wiedza"). Z wieku XVIII-go sięgnięto przede wszystkim do Woltera i Diderota. Trzy tomy opowiastek filozoficznych Woltera — „Kandyd czyli optymizm", „Tak toczy się światek", „Prostaczek" — wznowiła „Wiedza", a Diderota „Kubusia fatalistę i jego pana" wydała „Książka". Również nakładem „Wiedzy" ukazała się „Historia Manon Lescaut i kawalera de Grieux" księdza Prevost. Niewątpliwie i dalsze tomy z dawnej Biblioteki Boya doczekają się w najbliższym czasie wznowień, trudno jednak popularyzację klasyków francuskich oprzeć jedynie na tłumaczeniach Boya-Żeleńskiego. Koniecznością wydają się w tej chwili nowe, dobre przekłady Flauberta, conajmniej wybór najlepszych nowel Prospera Merimee i Maupassanta, nowe tłumaczenia Zoli, te zatem pozycje, których Boy nie zamierzał lub nie zdążył przełożyć.

Mimo jednak tych, czy innych braków klasycy francuscy są u nas reprezentowani dość znaczną ilością tomów i wysiłek wydawniczy, podjęty w tej dziedzinie, zasługuje na uznanie. Nieporównanie natomiast gorzej przedstawia się sprawa tłumaczeń klasyków rosyjskich i angielskich. Tu wszystko jest jeszcze do zrobienia, począwszy od podjęcia planowej pracy nad nowymi przekładami. Bardzo staranne wznowienie „Klubu Pickwicka" (Państwowy Instytut Wydawniczy) i „Dawida Copperfielda" („Książka"), również wznowienie „Martwych dusz" Gogola, oraz nowe tłumaczenie „Dzieciństwa" Tołstoja („Czytelnik"), „Wiosennych godów" Turgieniewa (na ten tom wydany przez „Wiedzę" składają się dwa opowiadania: „Wiosenne gody" i „Pierwsza miłość", oba w doskonałym przekładzie J. A. Jaworskiego) i wyboru nowel Gogola w przekładzie J. Wyszomirskiego (wyd. „Panteon") stanowią drobną zaledwie część tego, co w zakresie przekładów arcydzieł prozy rosyjskiej i angielskiej powinno być dokonane. Również wznowienie przez „Książkę" jednego ze szczytowych osiągnięć prozy amerykańskiej, trzytomowej „Tragedii amerykańskiej" Dreisera trzeba uważać za bardzo cenne, jednak bardzo niewystarczające, jeśli chodzi o zaznajomienie szerszego ogółu z najwybitniejszymi powieściami tej literatury na przełomie wieku XIX-ego i XX-ego.

Dobre przekłady arcydzieł literatur obcych są sprawą równie doniosłą, jak zbiorowe wydania klasyków własnych, ponieważ literacka kultura szerokich mas musi się w równym stopniu opierać na znajomości Prusa, Orzeszkowej czy Żeromskiego, jak i na znajomości dzieł Balzaca, Dickensa i Tołstoja. W związku z tym jedno, lecz dość zasadnicze życzenie pod adresem wydawców. Boy-Żeleński, który tak ogromne położył zasługi dla popularyzacji literatury francuskiej, miał zwyczaj każdy tłumaczony przez siebie tom poprzedzać przedmową, omawiającą dany utwór na tle epoki i twórczości pisarza. Dzięki temu nawet czytelnicy słabo lub wcale się nie orientujący w literaturze francuskiej mieli okazję nie tylko przeczytać Balzaca czy Woltera, lecz i dowiedzieć się wielu szczegółów z ich twórczości. Dzisiaj, gdy tak silny kładzie się nacisk na zdobycie nowych warstw czytelniczych, wydaje się wprost koniecznością, aby każdy tom, przynoszący przekład z literatury obcej, poprzedzany był krótkim informacyjnym wstępem. Iluż np. czytelników, którzy wezmą do rąk „Tragedię amerykańską", nic nie wie o Dreiserze? A o Dickensie, czy Turgieniewie? Myślę, że wydawnictwa powinny się nad tą sprawą poważnie zastanowić i wykorzystywać każdą okazję, aby zaznajamiać czytelników z tekstem obcego pisarza, zaznajamiać go również z sylwetką samego twórcy.

RYSUNKI ZYGMUNTA KAROLAKA

Dla przeciętnego odbiorcy sztuk plastycznych rysunek jest „gatunkowo" pośledniejszym dziełem sztuki niż np. obraz olejny. Tak samo przeciętny melomana woli koncert symfoniczny niż kameralny. Zagadnienie sprowadza się do tego, że laików bierze w dużym stopniu ilość efektów jakimi rozporządza dana sztuka.

Mimo to wystawa szkiców i rysunków Zygmunta Karolaka otwarta w salach Związku Zawodowego Artystów Plastyków w Sopocie cieszy się dużą ilością odwiedzających. Składa się na to realistyczny charakter prac tego artysty oraz szeroki zakres tematyczny (architektura, pejzaż, martwa natura, portret).

Jeśli chodzi o technikę to przeważa rysunek węglem i nie jest to przypadek. Węgiel jest bowiem środkiem raczej malarskim, daje dużą swobodę wypowiadania się, ale kryje w sobie też poważne niebezpieczeństwo utonięcia w niejasnościach płynnych, niezdecydowanych form. Nie zdołał przezwyciężyć tego niebezpieczeństwa Z. Karolak szczególnie w martwych naturach, gdzie formy przedmiotów, nie uzgodnione ani z tłem ani ze światłem, stoją oddzielnie i obco mimo swej pozornej zgodności i harmonii.

Najbardziej bodaj uderzającą cechą tego artysty jest temperament. Przejawia się on w kresce śmiałej i mocnej aż do brutalności. Dużo mówią o tym jego architektury, zwłaszcza Katedra w Kolonii, gdzie nieopanowanie kreski często zbyteczne natłok nerwowych pośpiesznych śladów ołówka, niweczy artystyczny sens rysunku.

Ale tam, gdzie artysta zdobył się na przemyślaną selekcję środków, powstają osiągnięcia o dużej wartości. Mam na myśli parę rysunków z Izby chorych, w których wrażliwa, syntetyczna kreska zamyka jasne zdecydowane formy.

Zygmunt Karolak nie powiedział jeszcze w swojej twórczości ostatniego słowa. Od artysty oczekujemy dojrzalszych prac, które będą wynikiem dyscypliny środków artystycznego wyrazu z przejrzystością zdecydowanych kompozycji.

H.

Dyskusje:

MUZYKA DLA WSZYSTKICH

Książka Witolda Rudzińskiego, zatytułowana „Muzyka dla wszystkich"*) — stanowi świetny pretekst, aby rozpisać się o polskich problemach muzycznych. Dlatego może, że jest to podręcznik, napisany nie dla fachowców, a dla tych wszystkich ludzi najlepszej woli, którzy są lub pragną stać się miłośnikami dobrej muzyki. Według Rudzińskiego bowiem „muzykę uprawiać można w dwojaki sposób — zawodowo i po amatorsku. W tym ostatnim wypadku u p r a w i a n i e m m u z y k i j e s t n a w e t t y l k o s ł u c h a n i e m u z y k i (podkreślenie moje), ale słuchanie celowe, kontrolowane, przygotowywane".

W tym właśnie leży sedno zagadnienia, że „uprawianiem muzyki jest nawet tylko słuchanie muzyki". I pierwsze pytanie, które się nasuwa brzmi: kto w Polsce słucha muzyki — a jeśli tak, to jakiej? Nie wiem, czy taka statystyka istnieje. Podobno posiada ją dla celów służbowych Polskie Radio — częściową oczywiście, bo odnoszącą się tylko do słuchania muzyki przez radio. Choć nie może ona dać siłą rzeczy całkowitego obrazu, szkoda, że jest trzymana pod korcem. Tak bowiem można się jedynie opierać na powierzchownej obserwacji. Ale już ta powierzchowna obserwacja uczy nas, że w Polsce mało się muzyki słucha, zwłaszcza dobrej.

Jest po temu wiele przyczyn. Pierwsza, to znikoma ilość zespołów muzycznych, takich jak orkiestry symfoniczne, zespoły kameralne, chóry itp. Prawdą jest, że w chwili obecnej mamy całą plejadę świetnych kompozytorów. Ale cóż z tego, jeśli nasze możliwości wykonawcze są tak nikłe, że utwory ich są częściej grywane zagranicą, niż w kraju. W ten sposób powstaje jedna z tych niebezpiecznych dysproporcji, które mogą naszą rodzimą muzykę położyć na obie łopatki. Należy sobie zdać sprawę, że aby wykształcić wielką ilość miłośników muzyki, nie wystarcza wielka ilość skrzynek radiowych — potrzebne jest przede wszystkim pewne kwantum sal koncertowych. Człowiek bowiem przekonywuje się do muzyki przez żywe z nią obcowanie.

Druga przyczyna jest znacznie głębsza i poważniejsza: to brak tradycji muzycznej w Polsce. Nie jest to, rzecz jasna, sprawa oderwana. Brak tej tradycji jest skutkiem nieprawidłowego rozwoju naszego społeczeństwa, zwłaszcza w wieku XIX, to znaczy w tym okresie, w którym w krajach zachodnio - europejskich powstawała i rozszerzała się kultura mieszczańska. Dokładniejsza analiza tego zagadnienia doprowadziłaby nas do porównywania rozwoju politycznego, ekonomicznego i społecznego Polski i państw Europy zachodniej: te rzeczy są dostatecznie znane. Chodzi mi w tej chwili jedynie o to, że z chwilą wystąpienia na arenę historyczną naszego kraju najszerszych mas społeczeństwa, nie dysponujemy tą tradycją muzyczną — a w szczególności tradycją amatorszczyzny muzycznej, jaką np. dysponują w tej chwili Niemcy. W takim kraju jak Niemcy problem upowszechnienia muzyki nie napotyka najprawdopodobniej na żadne przeszkody dlatego właśnie, że przyswojenie sobie wielkich tradycji muzycznych niemieckiego mieszczaństwa i drobnomieszczaństwa przez robotnika i chłopa nie jest niczym nadzwyczaj trudnym.

Mówiąc o upowszechnieniu kultury muzycznej w Polsce musimy się z tym liczyć. Trzeba dziś tę olbrzymią lukę w rozwoju naszej kultury nadrobić. Nie jest to zadanie łatwe, czyha zaś na drodze jedno wielkie niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo półśrodków. Trudno mi w krótkim omówieniu książki postulować sposoby, mogące być skutecznym lekarstwem na t. zw. „nie muzykalność" Polaków. Pewne myśli nasuwają się jednakże nieodparcie. Oto one:

1) Stworzenie odpowiedniej bazy materialnej: wszelkiego rodzaju zespołów instrumentalnych i chóralnych, co łączy się nieodparcie z koniecznością zorganizowania odpowiednio gęstej sieci szkolnictwa muzycznego.

2) Odstąpienie od zasady t. zw. koncertów elitarnych i zastąpienie ich koncertami popularnymi, mającymi na celu zaznajomienie społeczeństwa z dobrą muzyką oraz kształcenie zmaku. Istotną sprawą jest tu repertuar, który należy oczyścić z utworów drugorzędnej wartości (tego rodzaju bezwartościowy repertuar pokutuje niestety wciąż jeszcze zarówno w programach koncertów popularnych, w popisach chóralnych, jak i w programie radiowym, który jest systematycznie zaśmiecany pseudoludową muzyką). Twierdzę stanowczo, że szereg utworów Mozarta, Haydna, Moniuszki, Schuberta, Beethovena, Rimskij - Korsakowa, Mussorgskiego, Borodina, czy choćby finał IV symfonii Szymanowskiego — to muzyka, która nie wymaga od słuchacza zbyt wielkiego wysiłku i która zawojuje — przy odpowiednim sposobie podania — ludzi, którzy dotychczas wzdragają się, gdy mowa o muzyce poważnej. Nie zapominajmy, że takie np. „Uprowadzenie z Seraju" Mozarta jest właściwie operetką — tylko o muzyce znacznie szlachetniejszej, niż bębnione dotychczas w kółko „melodie" Kalmana czy Lehara.

3) Ostatnią wreszcie sprawą, wiążącą się ściśle z poprzednimi, to sprawa umiejętnej propagandy i uświadomienia społeczeństwa.

I tutaj powracam do książki Rudzińskiego. „Muzyka dla wszystkich" jest właśnie świetnym przykładem dobrej roboty propagandowej. Rudziński podaje w formie nadzwyczaj jasnej i logicznej wszystkie zasady, niezbędne do rozumienia muzyki. Jest to innymi słowy podręcznik, mający na celu wychowanie świadomych miłośników muzyki, czyli tego typu ludzi, których jest tak wielki brak w naszym społeczeństwie. Metoda Rudzińskiego jest w zasadzie prosta: daje on wykład wszystkich problemów muzycznych, wyjaśniając kolejno kwestie rytmu, harmonii i polifonii, kończąc zaś na organizacji życia muzycznego. Wielką zasługą autora jest uwypuklenie sprawy zasadniczej, t. j. wielkiego rytmu i pokazanie, jak się mu podporządkowują wszystkie inne elementy dzieła. Książka zyskuje na tym bezprzecznie na jasności; w ogóle trzeba podkreślić że mimo ogarnięcia w „Muzyce dla wszystkich" — w wielkim skrócie oczywiście — całości zagadnień muzycznych, podręcznik ten jest niewątpliwie dostępny dla przeciętnego laika, a nawet dla początkującego słuchacza - amatora. Przyczyniają się do tego walory literackie dzieła: niepretensjonalny i barwny styl, umiejętność zainteresowania czytelnika pozornie suchym materiałem teoretycznym.

„Muzyka dla wszystkich" jest wartościowym wypełnieniem luki w naszej literaturze muzycznej, w której istnieje wprawdzie sporo wartościowych dzieł dla fachowców, ale o amatorze i słuchaczu — tej podwalinie życia muzycznego — jakoś dotychczas zapominano. To „odkrycie" słuchacza jest naprawdę bardzo ważną sprawą.

WITOLD WIRPSZA

*) Witold Rudziński: „Muzyka dla wszystkich", Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, 1948, str. 400 + 4 nlb.

TYGODNIK WYBRZEŻA

REDAGUJE KOMITET — Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, tel. 21-90. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 10—12. Oddział GDAŃSK — GDYNIA: Komitet Redakcyjny w SOPOCIE, ul. Sikorskiego 2, tel. 523-77. Administracja Gdynia, Portowa 8, tel. 16-85. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 860 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm łamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetargi 1 mm łamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, ½ str. 40.000 zł, ¼ str. 25.900 zł.

KONTA: BGS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA" w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 Skład maszynowy w drukarni Nr. 10, Sp. „Czytelnik" w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie X-08665